

4. EMC A GOSPODARKA: 1961-1964

Zakłady T-1 (1960-1961)

Pierwszą pracę jako informatyk podjąłem w Zakładach Radiowych T-1 przy ul. Grenadierów 30 na Grochowie w 1960 r. Zostałem kierownikiem ośrodka obliczeniowego w organizacji. Praca polegała na pisaniu pracy magisterskiej pod kierunkiem mgr inż. Zbigniewa Gackowskiego, szefa Biura Planowania Międzywydziałowego, które podlegało szefowi produkcji. W zakładach T-1 produkowano systemy radarowe dla celów wojskowych i floty handlowej. Pierwszy system zwany „Nysą” był produkowany na licencji sowieckiej. Był to system mobilny wymagający 11 ciężarówek do transportu. Jak każdy system sowieckiej broni nie był wyrafinowany technicznie za to powinien być pewny w działaniu, chociaż były z nim ciągle kłopoty w produkcji. Pod koniec roku, kiedy trzeba było „wykonać” plan, główny element radaru stawiało się w pomieszczeniu odbioru wojskowego tak blisko ściany, aby przypadkiem nie próbować ruchów anteny, która stale się zaciniała. W ten sposób wojskowi mogli wydać fundusze, a T-1 wykonywało swój plan produkcji.

Dla potrzeb cywilnych w zakładach produkowano radar „Bałtyk”. Radar ten skonstruował zespół pod kierunkiem inż. Brożyny przy udziale mojego przyjaciela tenisisty, Andrzeja Tymowskiego. Andrzej był mistrzem seniorów Szczecina i mieścił się w pierwszej 10-ce seniorów Polski. Po skończeniu Politechniki w Gliwicach przydział otrzymał do Zakładów T-1. Niestety był to przydział nie-szczęśliwy, bowiem pośrednio przyczynił się do przedwczesnej śmierci mojego przyjaciela. Zakłady T-1 miały status produkcji specjalnej, której pracownicy nie mogli podróżować na Zachód. Dla człowieka tak żywego i zdolnego umysłowo i jakże sprawnego fizycznie był to wielki cios.

Podróżowaliśmy więc z Andrzejem w ramach Sport-Touristu po demoludach i raz do Moskwy. W Moskwie w 1960 r. zostaliśmy „otoczeni” przez studentki z *Instituto Innostrannyh Jazykow*, które oprowadzały nas po mieście. Ciągłe nas przekonywały, że ZSRR musi Polsce stale pomagać, a my z kolei przekonywaliśmy je, że Polska przesyła do ZSRR swój najlepszy węgiel — antracyt za darmo. Nie chciały wierzyć nam. Były oburzone, że nie jesteśmy wdzięczni ich ojczyźnie. Z Andrzejem byliśmy dobrze zgrani, więc robiliśmy z nich balona ile tylko weszło jednak na pograniczu pewnego rodzaju elegancji, jaką przeciętny Polak ma dla kobiet. Np. kiedy w ogromnej sali centralnej poczty w Moskwie zobaczyliśmy wielki obraz Lenina, momentalnie zaczęliśmy zadawać pytania typu „*kto jest etoj czelawiek?*” To wy nic nie wiecie o Leninie — pytały. Oczywiście, że nie, odpowiadaliśmy, nie uczyli nas o nim w szkole. Były zaszokowane i przestraszone. Cicho, cicho, zaczęły prosić abyśmy dalej nie kontynuowali naszych wyjaśnień.

Raz zaprowadziły nas do Centralnego Domu Dziecka, nawet dość dobrze zaopatrzonego w zabawki. Zrobiliśmy oczywiście kwaśną minę z rozczarowania, że dlaczego nie sprzedaje się tu zabawek japońskich, których u nas w Polsce jest w bród. Oczywiście była to wierutna nieprawda. Ponieważ każdy z nas był ubrany w amerykańskie ciuchy, bardzo wówczas modne w PRL-u, wygląd nasz świadczyć miał najlepiej jakim to Zachodem jest Polska. Nasze przewodniczki wpadły w kompleks niższości, ale taki był nasz cel. Ot tak na własną rękę sieliśmy dezinformację wśród młodzieży moskiewskiej. Zaprośiliśmy nasze koleżanki na dansing do restauracji dla obcokrajowców. Gdy zaczęliśmy tańczyć, jak przystało na niedawnych polskich studentów, wychowanych na Zachodniej muzyce tanecznej w „Stodole”, z kuchni wyszli kucharze, aby przyrzeć się, co ci Polacy wyrabiają. Ku naszemu zadowoleniu, nasze rosyjskie studentki chętnie i szybko uczyły się ówczesnych rockendrolowych wygibasów.

W omawianym okresie panowała w Sowietach „odwilż”. Chruszczow zdemaskował prawdziwe oblicze stalinizmu na XX zjeździe partii w lutym 1956 r. i odtąd obiecywał przegonić Amerykę w dobrobycie. Zaczął jednak od skromnego celu, według którego ZSRR miał przegonić USA w produkcji mleka na głowę mieszkańca. Plan Chruszczowa zakładał, że w ciągu 20 lat, czyli do 1976 r. ZSRR przegoni USA w produkcji i poziomie życia. Do tak buńczuczego planu zachęcały sowieckiego premiera i sekretarza partii pozytywne testy bomby wodorowej. Prawdą jest, że gdy Sowietci wystrzelili pierwszego sputnika w 1956 r., świat osłupiał, a Amerykanie czym prędzej zabrali się do przyspieszonego rozwoju szkolnictwa wyższego i badań naukowych. W rezultacie w 1968 r. dwaj Amerykanie jako pierwsi ludzie wylądowali na Księżycu i odtąd Stany Zjednoczone osiągnęły zdecydowaną przewagę w podboju kosmosu. Krążył wówczas dowcip, że zrozpaczeni Amerykanie zameldowali na Ziemię, że znaleźli Księżyc pomalowany na czerwono przez Sowietów. Prezydent Kennedy miał polecić „to namalujcie na nim biały napis Coca-Cola”.

Nic dziwnego, że nasze znajome studentki zadzierały wysoko nosa, będąc mocno napompowane propagandą o wyższości najbardziej „humanistycznego” systemu na świecie. Nas to z kolei irytowało i dopingowało do przekory. Musieliśmy jednak uważać, aby nie rozłościć ich za bardzo, co mogłoby zakończyć się naszym bezpłatnym pobytem w jednym z licznych pensjonatów, zwanych gułagami, a *de facto* będącymi obozami koncentracyjnymi na wzór nazistowskich. W rezultacie nic nam się nie stało, choć z pewnością założona zostałateczka dla każdego z nas w KGB. Zresztą szkoda nam było tych studentek, które były zabiedzone i złaknione kontaktów z zagranicą, podobnie jak nasi polscy studenci. Jest to znany i stały dylemat Rosjan i Rosji. Rosja to państwo okrutne, w którym żyją, jakże mili i skazani przez władzę na nicość i cierpienie, szeregowi ludzie — Rosjanie.

Andrzej Tymowski został w T-1 przyłapany na pisaniu listu po angielsku i z miejsca zatrzymano mu paszport na wszelkie wyjazdy. Jeździł odtąd tylko do Poznania na Międzynarodowe Targi, gdzie obok cywilnego radaru „Bałtyk”, Za-

kład T-1 wystawiał pierwszą polską kuchenkę mikrofalową, na której pieczono kurczaki. Inne firmy zagraniczne też wystawiały urządzenia radarowe, jak np. angielska DECCA. Podejrzewam, że Andrzeja obserwował nie tylko polski kontrwywiad, ale i zachodni wywiad również. Wkrótce mieliśmy się o tym przekonać.

W latach 1960. Polska szybko uprzemysłowiła się, podejmując się produkcji niemal wszystkich możliwych wyrobów. Oczywiście odbiegały one daleko (zwykle o jedną lub dwie generacje) od poziomu wyrobów zachodnich, które powstawały w ostrej konkurencji biznesów. Z tego względu były dobrze dopracowane, bardziej niezawodne w działaniu i estetyczniej wykonane. Chociaż polscy inżynierowie byli dobrymi fachowcami, ale brak konkurencji na rynku powodował jakby ospałe projektowanie, gdzie z góry było wiadomo, że wąskim gardłem krajowej produkcji jest brak nowoczesnych podzespołów, zwłaszcza elektronicznych.

Na ogół dbano, aby zakładami tak mocno opartymi na technice jak Zakład T-1, kierował fachowy dyrektor ds. technicznych, często bezpartyjny. Natomiast dyrektorem naczelnym z reguły była osoba z awansu, zaufana władz. W T-1 dyrektorem technicznym był wówczas inż. Czechowski, a dyrektorem naczelnym tow. Miziołek. Moją pracę nad zorganizowaniem ośrodka obliczeniowego popierał inż. Czechowski, a tow. Miziołek nie przeszkadzał. O tego typu dyrektorach mówiło się wtedy, że „przyzwoity”. Pracowałem w Dziale Planowania Międzywydziałowego, czyli w samym mózgu produkcji, którym był nie szef produkcji (zwykle krzykliwy facet „opieprzający” każdego kto zawinił, a takich na produkcji jest mnóstwo), a *de facto* kierownik tego działu, a mój opiekun pracy magisterskiej inż. Gackowski. Poznałem produkcję dość dobrze i jakże szczęśliwie, bowiem inżynier przemysłowy bez praktyki fabrycznej to nie inżynier. Teraz moim studentom amerykańskim zawsze mocno doradzam, aby pierwszą pracę podjęli na produkcji, a nie na *Wall Street*, gdzie lepiej płacą, ale gdzie inżynier czy specjalista biznesu traci podstawy wiedzy z wyższej uczelni, bowiem nie rozumie systemu operacji przemysłowych, które dają podstawę do zrozumienia systemu finansowego i zarządzania.

Wiceministrem przemysłu maszynowego był wówczas młody inżynier Janusz Hrynkiewicz, zwany „Hrynio”, zdolny, energiczny i technice oddany fachowiec, który wkrótce awansował na ministra. Jego fachowy styl rzutował wtedy na cały przemysł maszynowy, w którym fachowców jeszcze szanowano, acz im nie ufano. Przemysł rozwijał się jednak w sposób ekstensywny, tzn. mało nowoczesny i kosztem olbrzymich nakładów bez szczególnych wyników. Inżynierowie, tzw. „starej daty” twierdzili, że przed wojną Polska produkowała kilka wyrobów na światowym poziomie, jak np. lokomotywę, pistolet, samoloty Łoś, itd., podczas gdy obecny przemysł tak mocno rozbudowany nie ma ani jednego wyrobu na światowym poziomie.

Kiedy Gierek doszedł do władzy w grudniu 1970 r. zastosował strategię intensywnego rozwoju przemysłu, czyli produkującego nowoczesne wyroby. Zakupiliśmy wtedy ok. 500 zachodnich technologii, przestarzałych co najmniej

o jedną generację. Rozpoczął się okres licznych wyjazdów za granicę, na Zachód. Wraz z tym zakończył się okres „szanowania” fachowców. Wyjazdy na Zachód były wówczas tak bardzo finansowo atrakcyjne, że do wyjazdów zaczęli się garnąć najsprytniejsi, czyli aparaczczyki lub byli aparaczczyki partyjni. Po jednym takim wyjeździe stawali się „fachowcami” i oczywistymi kandydatami do kolejnych wyjazdów. Nic dziwnego, że większość licencji została zmarnowana.

XYZ (1958) w PAN i EMC na Politechnice (1959)

Organizowałem ośrodek obliczeniowy w tych jakże wyspecjalizowanych zakładach nie mając najmniejszego pojęcia skąd tu wziąć elektroniczną maszynę cyfrową (EMC), która nadawałaby się do tzw. przetwarzania danych, a nie do obliczeń inżynierskich. Wówczas nie stosowaliśmy jeszcze terminu komputer w Polsce. W ślad za Sowiecami stosowaliśmy nazwę EMC. Wówczas uważało się, że aby EMC mogła przetwarzać dane, powinna mieć organizację informacji opartą na systemie dziesiętnym kodowanym dwójkowo, pamięć zewnętrzna powinna być na taśmach magnetycznych, łatwych w magazynowaniu kartotek oraz powinna dysponować szybką drukarką liniową, drukującą co najmniej 600 wierszy na minutę.

Oczywiście takich maszyn wówczas nie było ani w Polsce, ani w ZSRR. Z głupia frant wysłałem zamówienie do amerykańskiej firmy IBM na zakup komputera z serii 1400. Wkrótce otrzymałem odpowiedź (z dnia 4 sierpnia 1960 r.) nie z USA, a z Wiednia od szefa IBM na Centralna Europę — G. A. Daubeka, że na tego typu maszynę jest embargo. Otrzymałem radę, że przedstawiciel Polski powinien postarać się o zgodę na sprzedaż z Departamentu Stanu. Zimna wojna była w swej całej nieprzyjemnej krasie, nikt w Polsce nie miał odwagi wystąpić o amerykańską licencję eksportową na komputer i to dla zakładów tak mocno zaangażowanych w wojskową produkcję. Wiadomo było z góry, że otrzymamy odmowę. Jednak zbiegiem okoliczności zakupiłem ten komputer po pięciu latach i osobiście spotkałem dyrektora Daubeka w... Warszawie, pewnie Czecha z pochodzenia, jakich jest cała masa w Austrii.

Nie wiedząc skąd wziąć komputer dla organizowanego ośrodka, praktykowałem programowanie na wszelkich możliwych komputerach polskiej konstrukcji, jakie znajdowały się wówczas w Warszawie. Należały do nich: powstały w 1958 r. „XYZ” w Biurze Obliczeń i Programów, Zakładu Aparatów Matematycznych przy ul. Śniadeckich 8 i powstały w 1959 r. „EMC” na Politechnice Warszawskiej w Katedrze prof. Antoniego Kilińskiego, zlokalizowany w laboratorium w al. Jerozolimskich tam, gdzie teraz znajduje się hotel Marriott.

Były to maszyny laboratoryjne, lampowe, z bardzo małą pamięcią wewnętrzną, rzędu 4 K bitów i bez pamięci zewnętrznej, które trzeba było programować w języku maszyny, czyli w dwójkowym zorganizowanym w oktalne człony rozkazie. Maszyny te miały raczej charakter dydaktyczny aniżeli usługowy. Wtedy i to było dobre. Przynajmniej poznałem dokładnie wewnętrzną logikę

funkcjonowania jednostki centralnej, która z pewnymi zmianami jest aktualna do dzisiaj.

Ponieważ nie było szansy wówczas na przyzwoitą elektroniczną maszynę cyfrową dla Zakładów T-1, bo tak wówczas nazywaliśmy komputery, zostałem przeniesiony w 1961 r. w ramach tego samego Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, do Instytutu Organizacji Przemysłu Maszynowego, do dziś zwanego w skrócie ORGMASZ.

Elliott 803 w Międzyzlesiu (1961)

Na początku dekady lat 1960. nie było jeszcze w Polsce EMC, które miałyby zastosowanie w praktyce gospodarczej. Jak już wspomniałem pierwszym komputerem dla potrzeb gospodarczych był amerykański UNIVAC I oddany do użytku raptem w 1951 r. Biorąc pod uwagę, że tego typu techniczne rozwiązania w Europie były zawsze opóźnione w stosunku do USA, a tym bardziej w Europie Wschodniej, za Żelazną Kurtyną. Pomimo tego już w 1961 r. dr Wojciech Jaworski dopiął swego i zainstalował angielską maszynę cyfrową Elliott 803 B w Ośrodku Obliczeniowym Instytutu Elektrotechniki w Międzyzlesiu pod Warszawą. W związku z tym rok 1961 można uznać za datę rozpoczęcia praktycznych zastosowań EMC w obliczeniach inżynierskich, naukowych, ekonometrycznych, a nawet podjęliśmy małą próbę zastosowania tej maszyny do przetwarzania danych.

Napisałem, że Wojtek „dopiął swego”, bowiem maszyna ta „nie spadła ot tak z nieba”. Trzeba było ją „wywalczyć” to znaczy wydeptać zgodę w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego, a co ważniejsze, uzyskać przydział twardych dewiz, o które było wówczas bardzo kruczo. Wojtek, niezmiernie zdolny i bystry elektronik, zakup maszyny uzasadniał tym, że w wyniku optymalizacji obliczeń stosowanych przy projektowaniu silników elektrycznych zaoszczędzi się znaczne ilości miedzi, surowca, którego wówczas zawsze brakowało. Wiceministrem odpowiedzialnym za decyzję w tej sprawie był fachowiec, inż. Zygmunt Keh, który mocno poparł ten wówczas nietypowy zakup z Zachodu.

W ten sposób maszyna dotarła do Polski. Elliott 803 dysponował świetnym autokodem MARK II oraz pamięcią zewnętrzną na filmach namagnesowanych. Pamięć na filmach była podobna do amerykańskiej pamięci na taśmach magnetycznych. Jej zaletą była możliwość zmagazynowania dużych zbiorów danych, praktycznie nieograniczonych. Wadą było wejście na taśmę dziurkowaną, które było wówczas typowym wejściem dla obliczeń numerycznych, ale niewygodnym dla przetwarzania danych. Maszyna dysponowała świetną, jak na owe czasy biblioteką programów tak dla potrzeb inżynierskich, jak i ekonometrycznych.

Dzięki temu specjalista z Komisji Planowania, Stefan Andrejszyn (więzień obozów koncentracyjnych) przeprowadził pierwsze eksperymenty z optymalizowania decyzji ekonomicznych przy zastosowaniu metod programowania liniowego. Jak już wspomniałem za wynalezienie tej metody została przyznana Na-

groda Nobla dopiero w 1975 r. Wprawdzie Stefan nie wymyślił tej metody, ale już na 15 lat przed jej wielkim uznaniem stosował ją w Polsce. Wynika z tego, że mieliśmy nie tylko zdolnych fachowców, lecz również niezłe rozeznanych w światowych metodach matematycznych, stosowanych w gospodarce, a praktycznie w biznesie. Metoda ta pasowała jak „kwiatek do kożucha” do ówczesnych bilansowych metod stosowanych w Komisji Planowania. Stopień skomplikowania związany z zoptymalizowaniem planu centralnego był nie do opanowania ówczesnymi metodami matematycznymi. Obecnie nie wynaleziono lepszych metod, po prostu zrezygnowano z centralnego planowania.

To tylko optymiści takiemu jak Oskarowi Langemu marzyło się zoptymalizowanie rynku przy pomocy maszyny, co wyraził w słynnym artykule „Maszyna i rynek”. Skoro wspomniałem Langego, to warto może zadumać się nad losem tego niezwykle uzdolnionego uczonego w formułowaniu modeli gospodarczych. Po wojnie przyjechał do Polski z USA, gdzie najpierw był pierwszym ambasadorem PRL. Profesor Lange znał świetnie gospodarkę kapitalistyczną, bowiem wykładał ją w Stanach Zjednoczonych. Jednak wierzył, że centralne planowanie może zastąpić rynek. Tworzył romantyczne teorie gospodarki socjalistycznej, centralnie planowanej wbrew zdrowemu rozsądkowi i znanej mu praktyce. Swym wybitnym umysłem uwiarygodniał działania polityków komunistycznych, którzy wierzyli mu. Dziś jego prace można odłożyć do archiwum, z wyjątkiem tych na temat cybernetyki, które są pracami wybitnymi i oryginalnymi. Z paru tysięcy wydrukowanych stron pozostanie na trwałe mała książeczka na temat „Całość i rozwój w świetle cybernetyki”. Kiedy pod koniec swego życia (1965) Profesor zaczął odchodzić od swych teorii, nikt z władz już nie chciał go poważnie traktować. Tym bardziej, że zaczął powątpiewać w pracę swoich uczniów, którzy z zapałem godnym lepszej sprawy upierali się przy centralnym planowaniu.

Wracając do Elliotta 803B to trzeba podziękować Wojciechowi Jaworskiemu, że wyszkolił kilkuset świetnych programistów i obliczeniowców. Rozeszli się oni po wielu biurach projektowych i placówkach badawczych, gdzie odtąd zaczęli drażnić potrzeby na maszyny cyfrowe i „wiercić w brzuchu” swoich przełożonych, aby kupili im taką maszynę.

Jaworski zlecał różne projekty i projekciki, którymi badał zastosowalność EMC w praktyce. Zlecił m.in. mnie i Zbigniewowi Gackowskiemu zautomatyzowanie ewidencji obecności pracowników Instytutu. Program był antytezą programu inżynierskiego, gdzie jest dużo danych i jest określony sekwencyjny ciąg obliczeń. W naszym projekciku było wprawdzie dużo danych, ale z uwagi na całkowitą giętkość systemu przychodzenia i wychodzenia z pracy pracowników, program miał 75 proc. rozkazów typu logicznego IF (JEŚLI), badających warunki wywoływania odpowiednich rutyn. Był to typowy program przetwarzania danych dla potrzeb podejmowania decyzji. Dał on nam w kość, bowiem miał wielką liczbę błędów logicznych, które cierpliwie trzeba było usuwać. Okazało się nam już wtedy, że wewnętrzna logika programowania prze-

tworzenia danych jest bardziej skomplikowana od obliczeń inżynierskich, czy naukowych. Choć z samej to nazwy wydaje się, że te ostatnie zastosowania są bardziej skomplikowane.

Uchwała KERM 400 z 1961 r.

Początków krystalizowania się polityki informatycznej w PRL należy szukać w Biurze Mechanizacji Prac Statystycznych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS). Biuro w latach 1950. i 1960. koordynowało w kraju mechanizację prac obrachunkowych w GUS-ie i Biurach Rozliczeniowych: PKP, Przemysłu Węglowego i Budownictwa. Koordynacja ta sprowadzała się do ustalania rozdzielników według resortów na importowane maszyny licząco-analityczne z Czechosłowacji (Aritma), z ZSRR (SAM) i z Francji (BULL).

Maszyny licząco-analityczne były to maszyny na tzw. karty dziurkowane, które podobnie jak obrabiarki do skrawania metalu były wyspecjalizowane w określonych operacjach obliczeniowych. Dane z transakcji biznesowych, czyli takich tradycyjnych dokumentów jak faktury, zegarowe karty pracy, kwity przychodowo-rochodowe z magazynów najpierw były przenoszone na karty dziurkowane. Operacja ta zajmowała całe hale operatorów maszyn do dziurkowania i sprawdzania. Z chwilą, jak dane zostały przeniesione na karty dziurkowane, gromadzono je w szufladach a następnie sortowano na sorterach elektrycznych lub mechanicznych (na czechosłowackich ARITMACH), dobierano z kartotekami na kolatorach, a następnie kalkulowano na mnożarkach podłączonych do tabulatorów, które drukowały wyniki. Takie jak listy płac, zestawienia księgowe itp. Maszyny te programowano na zewnętrznych tablicach, wtykając druty w odpowiednie otwory (elementy instrukcji). W podobny sposób był programowany pierwszy amerykański elektroniczny komputer ENIAC.

Zastosowania maszyn licząco-analitycznych określano wtedy wielką mechanizacją. Technika ta stała na dość dobrym poziomie w Polsce. Stanowiła świetne przygotowanie do zastosowania maszyn cyfrowych, bowiem przedsiębiorstwo posiadało już kulturę stosowania maszynowych nośników informacji oraz wyszkolonych specjalistów. Dyrektorzy wielkich Biur Rozliczeniowych byli potem gorącymi zwolennikami stosowania maszyn cyfrowych, który to proces nazywaliśmy wtedy automatyzacją przetwarzania danych (APD). Do tych dyrektorów, wielkich orędowników APD zaliczyłbym bardzo dynamicznego Antoniego Golinowskiego z przemysłu węglowego, Jerzego Zagalskiego z przemysłu budowlanego, Jerzego Wyrzykowskiego z PKP, Jerzego Lipińskiego z NBP, Zdzisława Wojcieszaka, Aleksandra Pietrańskiego czy Tadeusza Walczaka z GUS. Miałem do czynienia z nimi w kilku komisjach, w których wiele nauczyłem się z dziedziny praktycznych zastosowań maszyn do przetwarzania danych. Wprawdzie były to jeszcze maszyny licząco-analityczne, ale już tylko krok dzielił nas od maszyn cyfrowych. Idea zastosowania ich była wszakże zbliżona do wielkiej mechanizacji.

W przemyśle maszynowym takim pionierem był Marian Grzegorzewicz, kierownik stacji maszyn analitycznych w przedsiębiorstwie wyrobów elektrotechnicznych A10 (b. „Szpotkański”) w Międzyzlesiu pod Warszawą. Byłem u niego na praktyce studenckiej, potem razem wyjechaliśmy na szkolenie do Francji, wreszcie razem wyładowaliśmy w Krajowym Biurze Informatyki. Pan Marian był wtedy zawsze pełen energii, nowych pomysłów, nowych argumentów, koleżeński i ofiarny, gdy chodziło o wykonanie dodatkowej pracy. Tego typu podejście cechowało większość ówczesnych pionierów informatyki.

W PRL rozwój przemysłu i usług odbywał się nie jako wynik potrzeb rynku, a zachodził jako wynik poglądu centralnego planisty na „uzasadnione” potrzeby gospodarki. Potrzebami społeczeństwa centralny planista zbytnio się nie zajmował, były one zaspakajane na minimalnym poziomie. Rozwój poszczególnych gałęzi przemysłu a nawet i fabryk był kierowany odpowiednimi uchwałami Rady Ministrów czy „zarządzeniami” Prezesa Rady Ministrów. „Uchwała” czy „zarządzenie” dawały tzw. „zielone światło” na uzyskanie większych środków finansowych, materiałowych (czytaj dewizy na import) i etatowych.

W dniu 3 marca 1961 r. opublikowałem wraz z mgr. inż. Zbigniewem Gackowskim artykuł pt. „Czas produkować i stosować” w „Życiu Warszawy”. Pisanie w nim, że wprawdzie istnieje w Polsce aż 8 ośrodków zajmujących się konstrukcją EMC, ale nie ma ani jednego ośrodka zajmującego się zastosowaniami tych maszyn w gospodarce. W artykule podaliśmy prawie cały program rozwoju w tej dziedzinie. Od tego czasu napisałem kilkadziesiąt artykułów na temat polityki rozwoju automatycznego przetwarzania danych³. Rozwój ten tak sam przez się nie nadszedł. Trzeba było o niego „walczyć” z martwicą centralnego planowania i aktualnymi priorytetami Partii. Publicystyka tego typu zwykle wiązała się z narażaniem się albo jakiemuś dygnitarzowi albo jakiemuś urzędowi. Wspomniany artykuł, a także liczne naciski na władze nielicznych, ówczesnych pionierów mechanizacji i automatyzacji prac biurowych i z zakresu przetwarzania danych zaowocowały powołaniem dwóch bardzo ważnych komisji na wysokim szczeblu.

W dniu 16 czerwca 1961 r. premier wydał Zarządzenie nr 96, którym powołał Międzyresortową Komisję ds. Automatyzacji i Mechanizacji Prac Obrachunkowych. W skład Komisji weszło 13 głównych członków i 51 członków powołanych do kilku podkomisji. Komisja ześrodkowała swoją uwagę wyłącznie na maszynach licząco-analitycznych, maszynach obrachunkowych (maszyny do fakturowania) i maszynach biurowych. Komisja nie zajmowała się EMC, które w obozie socjalistycznym były jeszcze w powijakach.

³ W tym samym roku opublikowałem jeszcze kilka artykułów, jak np.: Elektroniczna maszyna cyfrowa nowoczesnym środkiem organizacji w przedsiębiorstwie przemysłowym, „Biuletyn TNOiK” 1961, nr 3-4; Przetwarzanie danych a teoria informacji, „Biuletyn TNOiK” 1961, nr 6; Doświadczenia stosowania maszyn licząco-analitycznych i elektronicznych maszyn cyfrowych w pracach konstrukcyjnych i technologicznych, cz. I, „Organizacja Młody Technik” 1961, nr 11, cz. II, „Organizacja Młody Technik” 1961, nr 12.

Z tego względu kilku pionierów zastosowań EMC postanowiło opracować podobną „uchwałę”, ale tylko w odniesieniu do EMC. Liderem tej grupy był dr Wojciech Jaworski z Instytutu Elektrotechniki w Międzyzlesiu. Dla sprawy pozyskał poparcie tego samego Adama Wanga, z-cy przewodniczącego Komisji Planowania, który spowodował wydanie zarządzenia premiera w sprawie prac obrachunkowych. Do kierowania Zespołem ds. Elektronicznych Maszyn Matematycznych w trybie roboczym, minister Wang powołał mgr. inż. Ludwika Mebla, specjalisty w Komisji Planowania. Po śmierci Wanga, nadzór nad zespołem przejął gen. Mieczysław Waluchowski. W pracach zespołu brali udział dr inż. Wojciech Jaworski (*spiritus movens* całego zespołu, jedyny co już praktycznie stosował komputer Elliotta 803 w praktyce przemysłowej) prof. Antoni Kiliński, prof. Seweryn Chajtman, dyr. Jerzy Lipiński (NBP), mgr inż. Zbigniew Gackowski, no i ja, świeżo dyplomowany informatyk.

Spotykaliśmy się coraz to w innym miejscu dyskutując rolę maszyn matematycznych w gospodarce. W dyskusji poruszano tak banalny dzisiaj temat jak podział zastosowań maszyn matematycznych (zwanych też EMC). Doszliśmy wówczas do wniosku, że zastosowania EMC trzeba podzielić na trzy obszary: do obliczeń numerycznych dla potrzeb naukowych i inżynierskich, do przetwarzania danych dla potrzeb zarządzania i do sterowania procesami technologicznymi. Dziś z perspektywy 38 lat dyskusja ta wydaje się jakże elementarna, ale wówczas w 1961 r. nie było żadnych doświadczeń w tym względzie w kraju. Traciliśmy godziny na dyskusje wokół tego tematu.

Wtedy IMM w PAN-ie nie zajmował się zastosowaniami w gospodarce, rozwój EMC miał miejsce głównie w: USA, W. Brytanii i Francji, zaledwie tylko 10 lat dzieliło nas od daty wypuszczenia na rynek amerykański pierwszej EMC do przetwarzania danych — Univac I. Jak wiadomo Żelazna Kurtyna robiła swoje, nowości techniczne docierały do Polski z Zachodu z kilkuletnim opóźnieniem. Dysponowaliśmy jedynym amerykańskim miesięcznikiem *Automation*, który publikował w każdym wydaniu nowe zamówienia na EMC. Z analizy tej listy wnioskowaliśmy o kierunkach zastosowań. Dziś i ta lista wygląda jak anachronizm, kiedy komputery wypuszcza się na rynek w milionach egzemplarzy.

Zespół przygotował uchwałę Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, którą ogłoszono w dniu 11 grudnia 1961 r. Uchwała zabezpieczała środki na seryjną produkcję takich EMC jak UMC-1 (skonstruowanej na Politechnice Warszawskiej) oraz na pierwsze pilotowe systemy informacyjne zarządzania w Zakładach Radiowych im. M. Kasprzaka i Zakładach Wytwórczych Lamp Elektronowych im. Róży Luksemburg. Oba zakłady znajdowały się w Warszawie na Woli. Wdrożenie tych systemów powierzono Instytutowi Organizacji Przemysłu Maszynowego (ORGMAZ), do którego wkrótce przeniesiono mnie i mgr. inż. Zbigniewa Gackowskiego służbowo z Zakładów T-1.

Uchwała KERM nr 400 naprawiła dysproporcję między pracami prowadzonymi w placówkach PAN i szkolnictwa wyższego a pracami prowadzonymi w przemyśle. Uchwała wciągnęła do współpracy dziesiątki specjalistów z poten-



cjalnych dziedzin zastosowań. Wkrótce przyszło mi kierować pierwszymi pracami projektowymi zastosowań w przemyśle w Polsce, wynikającymi z uchwały KERM nr 400. Wynika stąd wnioszek, że gdybyśmy nie opracowali wówczas tej uchwały, to proces stosowania komputerów w polskiej gospodarce byłby opóźniony o dalsze kilka, a może i kilkanaście lat. W wyniku tej uchwały, nie powstały żadne spektakularne systemy na poziomie *science fiction*, ale za to wyszkoliła się spora liczba specjalistów w informatyce. To oni potem, już na własną rękę „walczyli” o nowe systemy, o nowe komputery aż do czasu zakończenia działania „centralnego planisty”, czyli do 1989 r. W owym czasie o wszystko trzeba było „walczyć”, o mięso w kolejce do sklepu, czy o maszyny cyfrowe w poczekalni ministra.

Wydanie Uchwały skwitowałem artykułem pt. „Aparaty matematyczne w gospodarce”, opublikowanym w „Życiu Gospodarczym” w dniu 7 stycznia 1962 r. W owym czasie nie było łatwo opublikować buńczuczny artykuł w głównej prasie. W opublikowaniu wspomnianego tekstu pomógł mi starszy kolega tenisowy Władysław Dudziński, ówczesny z-ca redaktora naczelnego. Wytrawny dziennikarz, inteligent, który jak najbardziej popierał pomysły dynamizujące stagnacyjną gospodarkę. Artykuł ten zasługuje na jeszcze jeden komentarz, mianowicie mowa w nim o „aparatach matematycznych”. Ten termin tylko wskazuje na moje poszukiwania za bardziej zgrabną terminologią aniżeli „EMC”. Trzeba było jeszcze paru ładnych lat zanim zaczęliśmy stosować takie terminy jak komputer czy informatyka. Ich zastosowanie też nie przyszło łatwo i było przedmiotem określonej trudnej rozgrywki, w której przyszło mnie wziąć udział.

ORGMASZ (1961-1964)

Przeszedłem do ORGMASZ-u w związku z rysującą się realizacją Uchwały KERM nr 400. Rozpocząłem pracę w ORGMASZ-u w okresie intensywnego uprzemysławiania kraju. Środki na inwestycje wynosiły 25 do 30 proc. dochodu narodowego, tzn. dwa do trzech razy więcej niż na Zachodzie. Powodowało to olbrzymie zubożenie społeczeństwa, którego zbyt wielkim kosztem rozbudowywano sektor tzw. produkcji środków produkcji, czyli budowy fabryk produkujących maszyny, urządzenia i narzędzia. Nie modernizowano starych fabryk tylko budowano nowe. Przyrost produkcji osiągano poprzez wzrost zatrudnienia, a nie wydajności pracy. Brało się to z polityki pełnego zatrudnienia i szykowania miejsc pracy dla powojennego wyżu demograficznego. Szykowano miejsca pracy nie w przemyśle lekkim, spożywczym i w usługach, gdzie ich przygotowanie było tańsze tylko w najbardziej kapitałochłonnych przemysłach maszynowym i ciężkim. Stale mówiono o brakach i niedoborach, tzw. „wąskich gardłach”, jako że centralny planista nie był w stanie zaplanować każdej śrubki i nakrętki.

Na rynku brakowało wielu towarów przemysłowych — konsumpcyjnych jak np. lodówek, telewizorów oraz brakowało przede wszystkim mięsa. Cena mięsa ulegała ciągłym podwyżkom, wprowadzono nawet bezmięsne poniedziałki.

Wprawdzie 85 proc. areалу rolnictwa było w prywatnych rękach, ale państwo miało w swym zasięgu skup i dystrybucję, co prowadziło do stałych niedoborów, a nawet i przestępstw, które karano w trybie doraźnym wyrokami śmierci. Stosowano tryb doraźny, aby nie było apelacji, a wyroki te szybko wykonywano, aby przypadkiem skazany nie wyspał współników, którymi byli ludzie z... aparatu władzy. Produkcja maszyn rolniczych była zaplanowana tylko na potrzeby Państwowych Gospodarstw Rolnych i spółdzielczych. Chłop prywatny mógł je kupić jedynie za dolary w PKO. Rolnik mógł owe dolary kupić tylko na czarnym rynku, gdzie w latach 1960. cena była horrendalnie wysoka, w granicach od 100 do 200 złotych za dolara w zależności od napięć na świecie.

Gomułkę taka sytuacja cieszyła, bowiem nie chciał abyśmy stali się społeczeństwem konsumpcyjnym, był zwolennikiem „siermiężnego socjalizmu”, z którego wyników będą korzystały następne pokolenia. W swych przemówieniach porównywał stan gospodarki PRL-u do stanu sprzed wojny. Wygłaszał szalenie długie przemówienia, w których w ferworze gadulstwa przejeżdżał się i mówił np. o „gospodracie” albo o tym „jak to przed wojną gospodarka stała na skraju przepaści, a teraz po wyzwoleniu zrobiliśmy krok naprzód”. Oczywiście to ostatnie zdanie było parodią jego przemówień. Kiedy jednak jego przemówienie ze słowem „gospodraka” ukazało się w Polityce, cały nakład poszedł na makulaturę.

Dla nas punktem odniesienia było to, co miało miejsce na Zachodzie. Europa Zachodnia została odbudowana ze zniszczeń wojennych i weszła w fazę spektakularnego rozwoju. Podobnie wyglądała sytuacja w Stanach Zjednoczonych. My, nowa i wykształcona generacja fachowców od organizacji produkcji i przemysłu, skupiona wokół profesora Chajtmmana i w ORGMASZ-u, myślała, z dzisiejszej perspektywy jakże naiwnie, że całemu złu jest winna zła organizacja i złe systemy zarządzania. Jeśli te sprawy zostaną usprawnione to wszystko pójdzie gładko jak po maśle.

Dyrektorem ORGMASZ-u był wówczas mgr inż. Grzegorz Hałak, były wicedyrektor Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, wykładowca automatyzacji produkcji na oddziale Inżynieryjno-Ekonomicznym Politechniki Warszawskiej. Był to życzliwy i pomocny dyrektor, znający się na organizacji i mocno popierający jej rozwój. W związku z tym nastrój do pracy w ORGMASZ-u był dobry. Instytut był potrzebny przemysłowi i nietrudno było wówczas o środki na prace badawczo-rozwojowe. Prace w informatyce były finansowane z uchwały KERM nr 400.

Kiedy przechodziłem służbowo z Zakładów T-1 do ORGMASZ-u, było ustalone, że zostanę kierownikiem Pracowni Analizy Systemów, Janusz Madej (kolega ze studiów) zostanie kierownikiem Pracowni Programowania, a kierownikiem Zakładu Zastosowań zostanie inż. Zbigniew Gackowski, mój opiekun pracy magisterskiej i zwierzchnik z T-1. Ponieważ przeniesienie służbowe inż. Gackowskiego przedłużało się, więc zostałem tymczasowym kierownikiem Zakładu. W jego skład wchodziły jeszcze dwie pracownie: Metod Matema-

tycznych, kierowana przez ówczesnego mgr. Władysława Radzikowskiego i pracownia Maszyn Analitycznych, kierowana przez mgr. Bronisława Obirka. Był to rok 1961, a już w Polsce zorganizowaliśmy zręby jednostki, która zaczęła specjalizować się w zastosowaniach przemysłowych EMC, dziś zwanych komputerami. Wielu ówczesnych pracowników tego Zakładu było pionierami informatyki zarządzania, którzy, gdy rozeszli się w „świat” byli przygotowani do kierowania kolejnymi projektami i organizacjami informatycznymi. Po trzech miesiącach doszłusował do nas inż. Gackowski z T-1 i tym samym skończyło się moje kierowanie Zakładem.

Do mojej pracowni ściągnąłem szalenie pracowitego i znającego się na produkcji Stefana Kwiatka (z T-1), Bogdana Królikowskiego, męża koleżanki ze studiów Danki Łowkins, Andrzeja Skalskiego, Bohdana Zaborowskiego, Sławka Trautmana, kolegów z Politechniki. W pracowni pracował również mgr inż. Jerzy Pytkowski, szalenie ofiarny pracownik, który chomikował wszelkie publikacje na temat EMC. Nie czytał ich, ale wsadzał do szuflad, co wg p. Jurka miało równać się z ich przeczytaniem. Stanowiliśmy świetnie zgrany zespół młodych analityków systemów, chyba takich pierwszych w Polsce.

Podstawą metodologiczną działania w Pracowni Analiz Systemów w 1961 r. była moja praca magisterska. Informacje z Zachodu na ten temat były bardzo skromne, praktycznie nie mieliśmy żadnych. Warto zauważyć, że dyscyplina ta była bardzo młoda, faktycznie młodsza od prac badawczych nad konstrukcją komputerów. Pierwsze zręby Ogólnej Teorii Systemów (OTS) zostały opublikowane przez Ludwiga von Bertalanffy'ego (później zamerykanizowanego Niemca, biologa) w brytyjskim *Journal of the Philosophy of Science* w 1945 r., która to publikacja uszła uwadze w Polsce, wtedy całkowicie zniszczonej. Jego pierwsza kompletna książka na ten temat ukazała się dopiero w 1968 r.⁴ W owym czasie najbardziej intensywnie pracującą agencją nad teorią systemów był amerykański RAND, który prowadził prace badawcze na rzecz amerykańskiego lotnictwa. Nie mieliśmy jednak dostępu do publikacji tej agencji. Pierwsza podstawowa książka na powyższy temat i pióra pracowników tej agencji: Hitcha i McKean'ana i to w odniesieniu do analizy systemowej uzbrojenia została opublikowana w 1960 r. W 1962 r. ukazała się w USA bardzo cenna książka Arthura D. Hall'a na temat *Methodology for System Engineering*⁵. Dostęp do tej książki mieliśmy dopiero po kilku latach. W tym okresie mieliśmy w ręku popularną książkę *Cybernetics and Management* pióra angielskiego cybernetyka Stanforda Beera⁶. Dopiero po 1965 r. ukazało się w USA szereg książek na temat analizy systemów. Kilka z nich dotarło i do Polski. Miały one jednak bardzo ogólny charakter, sami musieliśmy dostosowywać ogólne zasady systemów do naszych szczegółowych potrzeb projektowych. Jedynym wówczas źródłem in-

⁴ Ludwik von Bertalanffy, *General System Theory*, George Braziller, New York, 1968.

⁵ Opublikowana przez Van Nostrand.

⁶ Opublikowana przez English University Press w 1959 r.

formacji, co jest publikowane na zachodnim rynku była księgarnia LOGOS w al. Ujazdowskich. Dominowały w niej jednak książki z zakresu budowy i programowania maszyn cyfrowych, nie było wcale książek na temat analizy systemów, bo jak wskazaliśmy powyżej, takowe zaczęto publikować mniej więcej po 1965 r., a do nas do PRL docierały dopiero po 2 czy 3 latach od daty publikacji. Tymczasem ja sam zacząłem tworzyć pierwsze zręby publikacji na temat zastosowań maszyn cyfrowych w gospodarce⁷.

Praca w ORGMASZ-u była przyjemna i dała nam czas na naukę i to nie tylko systemów przetwarzania danych, ale i samej organizacji przemysłu. W początkowym okresie realizacji uchwały KERM nr 400 współpracowaliśmy bardzo ściśle z Zakładem Organizacji Produkcji, kierowanym przez inż. Jana Bursche, syna biskupa protestanckiego, zamordowanego w Oświęcimiu, bowiem nie chciał on podpisać listy *volksdautcha*. Był to bardzo koleżeński, przyzwrotny i pomocny szef Zakładu, który był zaangażowany m.in. w przejmowaniu licencji na produkcję silników okrętowych ze szwajcarskiej firmy Sulzer do Zakładów im. H. Cegielskiego w Poznaniu. Projektem tym kierował mgr inż. Waldek Siwa, starszy kolega z Politechniki mgr inż., Zdzisław Jodełko. Wszyscy pochodziliśmy z tego samego miotu fachowców, którzy mówili tym samym językiem i mieli do siebie szacunek, bowiem wiedzieliśmy, że każdy z nas ma solidne wykształcenie, i że nie jest samorodnym amatorem organizacji i przemysłu, jakich wtedy było bardzo wielu.

Szczególnie intensywnie pracującym dla potrzeb przemysłu był Zakład Normowania Technicznego, kierowany przez inż. Ludwika Kazalskiego. W owym czasie przemysł przechodził z norm orientacyjnych na tzw. normy techniczne uzasadnione, zwane wówczas w skrócie NTU. Trzeba było napisać dziesiątki poradników i tabel jak obliczać normy pracy, a stąd i biorący się system wynagrodzeń. Dzięki normom NTU podniosła się sprawność mikrozarządzania w przedsiębiorstwach, bowiem zostało ono oparte na bardziej obiektywnych przesłankach, ale tylko w produkcji na akord, gdzie zapłata szła od sztuki detalu czy podzespołu. Oczywiście pole do manipulacji stanowi obszar stawek zaszerzegowania kategorii roboty. Warto zauważyć, że płacenie od wykonanej sztuki obniżało jakość produkcji. Wtedy jednak nie o jakość chodziło, a o „plan”. Dziś w produkcji, gdzie liczy się jakość wyrobu pracownicy opłacani są według przepracowanych dniówek.

W okresie pierwszego roku pracy w ORGMASZ-u wziąłem ślub ze studentką inżynierii lądowej Politechniki Warszawskiej — Alicją Kowalczyk. Ala była bardzo ładną i skromną panią, trochę zagubioną w Warszawie. Przyjechała do stolicy na studia z Radomia, gdzie mieszkała u swej cioci Walerii Kostańskiej. Ala wprawdzie urodziła się w Warszawie, ale jej rodzice Maria z Os-

⁷ Programowanie prac elektronicznych maszyn cyfrowych, „Ekonomika i Organizacja Pracy” 1962, nr 3.; Analiza celowości zastosowania maszyn liczących w zakładach budowy maszyn, Organizacja Samorząd Zarządzanie 1962, nr 10.

trowskich i Leon Kowalczyk zostali w czasie Powstania rozstrzelani w słynnych masowych egzekucjach na Woli. Ten fakt miał duży wpływ na moją decyzję zaofiarowania Ali małżeństwa. Mieliśmy podobny rodowód. Piszę o tym dlatego, że potem, kiedy robiłem tzw. „kariere” w informatyce, istniała opinia, że robię ją dlatego, że moim teściem miał być jeden z wicepremierów. Prawda była jakże inna i jakże dramatyczna. Nikt wtedy nie zakładał, że moje awansowanie, bezpartyjnego specjalisty może być rezultatem mojej fachowości i moich zdolności.

Wyjazd do Francji — BULL-a (1962)

Wykonanie Uchwały KERM nr 400 z 1961 r. w zakresie wdrożenia zautomatyzowanych systemów przetwarzania danych dla potrzeb zarządzania wymagało w pierwszym rzędzie maszyny cyfrowej. Ciągłe mówiło się o krajowych maszynach ZAM, ale tak naprawdę nikt w to nie wierzył, że będą one kiedyś dostępne. Zresztą słusznie, jak wykazał czas, maszyny te nigdy nie weszły do praktyki przemysłowej.

W tym stanie rzeczy zaczęliśmy rozglądać się za maszynami z W. Brytanii lub Francji. Nie planowaliśmy sprowadzenia maszyn z USA, ponieważ miałem już w tym względzie odmowę z IBM, a *de facto* z administracji amerykańskiej. W W. Brytanii rozwój produkcji maszyn cyfrowych był w owym czasie dość spektakularny. Firmy takie jak ICT, Ferranti, Elliott, English Electric, a potem ICL produkowały całą gamę maszyn cyfrowych, z których do przetwarzania danych najlepsza miała być maszyna LEO III z firmy English Electric. Nie mieliśmy dobrych kontaktów z tymi firmami z wyjątkiem firmy Elliott. Maszyna Elliott 803 B nie była z kolei najlepszym wyborem dla naszego projektu.

W Polsce wtedy świetne interesy robiła francuska firma BULL (założona w 1931 r.), która dostarczała maszyny licząco-analityczne dla kilku polskich biur rozliczeniowych. Firma ta już pod koniec lat 1950. skonstruowała kilka wielkich maszyn cyfrowych Gamma 60. Były to tak wielkie maszyny, że myślało się, iż kilkoma takimi jednostkami można będzie zaspokoić wszystkie potrzeby obliczeniowe Europy. BULL był zdezorientowany, co do przyszłego kierunku automatyzowania przetwarzania danych. Pytaniem było, czy porzucić produkcję maszyn analitycznych i przestawić się na produkcję maszyn cyfrowych, czy rozwijać oba te kierunki równolegle? Firma wybrała rozwiązanie iście salomonowe, wypuszczając na rynek maszynę hybrydę *Serie 300 MCT*. Była to maszyna oparta na technice maszyn licząco-analitycznych, z tym, że miała dwa razy szybszy cykl roboczy. Serie 300 mogła przetwarzać 300 kart na minutę, a nie 150 jak to miało miejsce w przypadku klasycznych maszyn licząco-analitycznych. Zamiast mnożarki, *Serie 300* dysponowała maszyną cyfrową MCT (*Memoir Central Transit*), programowaną wewnętrznie z bardzo małą pamięcią operacyjną o pojemności 72 słów 12-znakowych.

Serie 300 była kolejnym stopniem rozwojowym w stosunku do maszyn licząco-analitycznych, stąd spotkał się z korzystnym przyjęciem ze strony polskich

biur rozliczeniowych. Postanowiono, że pierwsza maszyna zostanie zakupiona dla Biura Rozliczeń PKP, którego doświadczenie będzie wykorzystane dla decyzji zakupu dalszych maszyn tego typu do Polski. Przedstawicielem BULL-a w Polsce był Jean Cailleaux, ożeniony z Polką, mówił więc dobrze po polsku i miał słabość do naszego kraju. Pomagał mu uroczy i nieoceniony Piotr Lisowski, nieoficjalny przedstawiciel BULL-a w Polsce. Licząc na dalsze zakupy, BULL szybko zaoferował wyjazd na przeszkolenie do Paryża większej grupy polskich specjalistów.

Do grupy tej weszli pracownicy PKP jak Adam Wielądek i dyr. Grzegdała, przedstawiciel NBP inż. Z. Kościółek, pracownicy ORGMASZ-u. W grupie tej byli oprócz mnie, analityka systemów, programiści: Janusz Madej, Boguś Zaborski (obaj koledzy ze studiów), Andrzej Partyka (młodszy kolega z Reytana), konserwatorzy przyszłej maszyny Wanda Szyling i Janusz Chrzanowski. Na kursie byli jeszcze przedstawiciele: Zakładu A10 — Marian Grzegorzewicz, Huty Lenina — Adam Kozłowski, konserwator z fabryki w Stalowej Woli — Zbyszek Trzeźniowski (późniejszy prezydent Stalowej Woli).

Potem podczas szkolenia najlepszymi studentami byli Janusz Madej i Adam Wielądek, mieli oni wielkie zamiłowanie do programowania. Adam pracował jakby za dwóch, tzn. za siebie i za dyr. Grzegdałę. Potem po powrocie do Polski Adam programował też za dwóch. Był młody i bardzo zdolny do matematyki. Wkrótce i on awansował na stanowisko dyrektora, a nawet w pierwszym Solidarnościowym Rządzie Tadeusza Mazowieckiego w 1981 r. został ministrem Transportu, zresztą obok niego był drugi informatyk w tym Rządzie — Tadeusz Syryjczyk — minister Przemysłu i Handlu. Poślałem gratulacje Adamowi, ale nie odpisał mi. Widocznie za bardzo przejął się rolą ministra.

Sytuacja w Europie Wschodniej była wtedy lekko rozluźniona, czego wyrazem była zgoda Chruszczowa na wydanie krytykującej reżim sowiecki książki Solżenicyna pt. „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza”. Zaledwie rok temu w 1961 r. Chruszczow szukając dialogu z Zachodem spotkał się z prezydentem amerykańskim Johnem Kennedy w Wiedniu. Żeby jednak nie było za dużo złudzeń co do jutrzejki wolności, w tymże samym roku został wzniesiony niesławny mur w Berlinie. My, świeżo upieczeni informatycy polscy skorzystaliśmy z tej chwilowej odwilży w obozie komunistycznym i wyjechaliśmy po naukę na Zachód. Do Paryża wyjechaliśmy na wiosnę, a powróciliśmy w zimie. W owym czasie nauka posługiwania się nową maszyną cyfrową zabierała kilka miesięcy. Przyjechałem do Paryża po czterech latach, więc znałem już go trochę z poprzedniego studenckiego pobytu i byłem bardzo podekscytowany szansą poznania zachodniej informatyki. Paryż na wiosnę jest piękny, ciepło i słońce sprawiają, że mieszkańcy tłumnie wylegają na ulice. Kafejki rozłożone na chodnikach pełne są gości. Każdemu chce się żyć. BULL otoczył nas troskliwą opieką. Na co dzień pieczę nad nami sprawowała bardzo francuska pani Tania Zagulajew, której mężem swego czasu był Polak o tym rosyjskim nazwisku, nota bene mieszkający w PRL-u.

Zamieszkaliśmy w małym hoteliku przy *rue De Vinaigriers* koło *Gare De L'Est* (Dworca Wschodniego). Na ulicy tej znajdowała się szkoła BULL-a, więc na zajęcia mieliśmy dosłownie parę kroków. Hotelik miał w środku studnię, na której podłodze właściciele hoteliku coraz to spożywali sute posiłki. Myśmy z kolei oszczędzali na dietach (8 dol. na dzień) i nie mogliśmy patrzeć na te biesiady, gdyż wydawało się nam, że gospodarze urządzają je celowo, aby drażnić nasze podniebienie. Zakręciłem się po okolicy i znalazłem inny hotelik nieopodal przy Bulwarze *de Magenta* 38. Wszyscy przenieśliśmy się do niego, zadowoleni, że blisko i że skończyły się nasze kulinarne katusze. Adres o tym hoteliku przechodził potem od Polaka do Polaka, tak że stał się niemal „polskim” hotelem, ku zadowoleniu *madame Solignac*, jego właścicielki.

Żeby zaoszczędzić na dietach musieliśmy żyć na diecie. Rano jadło się bageta z białym serem, smarującym się jak masło. W południe lunch jadło się w stołówce BULL-a za dolara, a wieczorem zjadało się znów bageta z kabanosami (z Polski) albo z czymś z polskiej konserwy. A gdy tych zabrakło, to z sardynkami, których puszka kosztowała pół dolara. Potem przez kilka lat nie mogłem patrzeć tak na kabanosy, jak i na sardynki, za to moja żona Ala mogła potem chodzić ubrana w ciuszki z Paryża i jeździć własnym samochodem. Ten model życia na stażu na Zachodzie był typowy dla kilkunastu, a może kilkudziesięciu tysięcy polskich stażystów. W ten sposób dorabiała sobie polska inteligencja, która po powrocie do kraju zapewniała sobie znośny poziom życia. Tak, ale jakim kosztem? Pani Zagulajew i pan Caileaux zdawali sobie sprawę z naszego trybu życia, dlatego od czasu do czasu zapraszali nas na wycieczki albo do restauracji i wtedy zjadaliśmy się przysmakami francuskiej kuchni. Chyba najlepszej na świecie.

Mieliśmy po 25 lat i zamieszkaliśmy na kilka miesięcy w tym mieście legendzie, perle zachodniej Europy. Nie chciało się to nam w głowie pomieścić. Paryż w tym czasie przeżywał najazd francuskich uciekinierów z Algierii, tzw. *piet noir*, czarnych stóp. Po latach rządów francuskich w Algierii, prezydent De Gaulle zdecydował o opuszczeniu przez Francuzów tego afrykańskiego kraju. Premierem Algierii został legendarny wojownik Ahmed Ben Bella. Sytuacja we Francji była naprężona, dopiero co został zdławiony pucz francuskich generałów. Lato miało przynieść jeszcze większe zawirowania w polityce światowej.

Polityka przechodziła nam koło uszu, wpatrzeni byliśmy w życie paryskie i szkołę BULL-a. Wykłady prowadził niejaki pan Teofil, syn polskich emigrantów. Mówił słabo po polsku, wykłady prowadził po francusku, czasem uzupełniając je językiem swych ojców. Kiedy zaprosił nas na swój ślub z panną również polskiego pochodzenia, poznaliśmy mnóstwo polskich emigrantów. Jego ojciec, który przebywał od kilkudziesięciu lat we Francji, nie mówił wcale po francusku. Przyjęcie w restauracji było huczne. Jednak wszystkich alkoholi nie wypiliśmy, tak że pan młody potem cierpliwie zlewał resztki z butelek, które zabrał z sobą. Przecież zapłacił za nie. U nas w Polsce byśmy tego nie zrobili, bawiliśmy się zwykle „po pańsku”.

Żeby nadążyć za tokiem wykładów po francusku zapisaliśmy się do szkoły języków obcych, sławnego Berlitz'a. Szkoła ta znajdowała się w dzielnicy Łacińskiej przy *rue Valette*. Po wykładach u BULL-a dojeżdżaliśmy do niej metrem, a potem już późnym wieczorem wracaliśmy do hotelu piechotą. Droga wiodła przez *Boulevard Saint Michel*, koło Prefektury Policji na wysepce *Ile de La Cite*, a potem po przekroczeniu Sekwany zbaczaliśmy na lewo w *rue Saint Denis*. Była to mała uliczka, ale sławna na cały świat. Wiadomo z czego. Przylegała do wielkich hal paryskich, gdzie co wieczór zwożono z Południa transporty świeżych warzyw, owoców, ryb, żyłatek morskich i mięs. Kierowca jadący wielką ciężarówką cały dzień, szukał wytchnienia przed nocą właśnie na tej ulicy, którą i my wracaliśmy po całym, 10-cio a może 12-to godzinnym dniu nauki. Stawaliśmy w tłumie gapiów i przyglądaliśmy się pertraktacjom klientów z panienkami. Po paru dniach panienki nas już rozpoznawały i zagadywały. Najbardziej rozmownym był pan Marian Grzegorzewicz, starszy od nas i bardziej znający się na zakazanych owocach. Jedynym członkiem naszej delegacji, który nie gadał, a myśl zamieniał w czyn był Andrzej Partyka, zwycięzca Olimpiady Matematycznej. Wracał późno do hotelu, zwykle zmaltretowany i bez pieniędzy. Często nie miał pieniędzy nawet na jedzenie, a tym bardziej na samochód, jaki każdy z nas kupił sobie z oszczędności po tym pobycie.

Kiedyś postanowiłem jako szef delegacji, porozmawiać z Partyką o jego prowadzeniu się. Spotkałem Andrzeja na schodach w naszym hoteliku i mówię: „Andrzej, co ty wyprawiasz, uszatkuj się”. A on wtedy rzucił się na mnie z... nożem. Odskokczyłem w bok i zrezygnowany poszedłem do swojego pokoiku. Nie zrobiłem z tego incydentu sprawy. Potem w ośrodku ZETO-ZOWAR, którego byłem dyrektorem, Andrzej ze zdenerwowania obsłuszał komputer IBM 1440. Nasze cacko. Też nie zrobiłem użytku. Andrzej był wybitnie zdolnym informatykiem i bardzo cennym pracownikiem. Z takimi fachowcami zwierzchnik musiał się liczyć, o ile zależało mu na wynikach pracy.

Wkrótce przenieśliśmy się wraz z Januszem Madejem do jeszcze sławniejszej szkoły języka francuskiego *L'Ecole Francaise* przy *Boulevard Raspail* też w Dzielnicy Łacińskiej. Była to szkoła specjalnie zaprojektowana dla przybyłej z zagranicy młodzieży. Kto wówczas przyjeżdżał do Paryża? Głównie Skandynawki, które zarabiały bawieniem dzieci albo sprzątaniami w domach francuskich. Potem szły na lekcje francuskiego, a po roku lub kilku latach wracały do swego kraju z wcale dobrą znajomością tego pięknego języka. W naszej klasie było ze 20-cia Skandynawek, szalenie zgrabnych blondynek oraz nas dwóch chłopaków. Życie mieliśmy tym trudniejsze, że obaj byliśmy świeżo upieczonymi małżonkami i wszelkie pokusy wieku młodego odstawialiśmy na bok, co prawda z trudem. Często nachodziła mnie myśl, że to wszystko jest snem, który musi się kiedyś skończyć. Przecież nasz wyjazd nie był wyjazdem typowym. Trzeba było aż Uchwały KERM, abyśmy mogli prześlizgnąć się na Zachód. Podczas gdy owe Skandynawki mogły podróżować do Francji czy innego kraju swobodnie, nigdy z myślą, że to ich ostatnia już podróż.

Codziennie wykłady po francusku u BULL-a i codzienne lekcje francuskiego u *Berliza*, a potem w *Aliance Francaise* oraz młody wiek zrobiły swoje. Zacząłem ku zdumieniu wielu osób dość swobodnie mówić i pisać po francusku. Znając język zacząłem rozkoszować się jakże bogatą kulturą francuską. Chodziłem po muzeach i wystawach ile tylko mogłem. W Paryżu działo się wtedy, a może i jest tak zawsze, wiele ciekawych rzeczy. Podziwiałem dzieła Picassa, „odkryłem” Makowskiego w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, ale jeszcze bardziej interesował mnie Jean Dubuffet. Podczas gdy Picasso szukał plastyczności w sztuce, Dubuffet atakował otaczającą materię i fizyczne źródło egzystencji, jak ziemię, życie, sny itp., kwestionując ich stabilność i koloryt. Artysta pisze, że „sztuka jest potrzebna jak chleb. Bez chleba człowiek umiera z głodu, bez sztuki człowiek umiera z nudy. Sztuka mądra — co za zwariowana idea. Sztuka nie jest niczym innym więcej niż produktem radości i wariactwa. Malarzem jest każdy. Malowanie jest bardziej spontanicznym językiem niż pisanie, jest bliższe krzykowi i tańcowi. Dlatego jest bardziej efektywne od słów”. Jakże to inaczej brzmiało w stosunku do sowieckiego socrealizmu, panoszącemu się i w Polsce. W PRL-u przecież cały czas umieraliśmy z nudy. Wiem teraz dlaczego! Pod koniec czerwca wybrałem się na małą *rue Visconti* w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie bułgarski uciekinier Christo Javaczev zastawił uliczkę ścianą z kolorowych beczek. Był to protest za wzniesienie rok temu Muru Berlińskiego.

Niedługo dołączył do nas inż. Gackowski, który był niezwykle pracowitym człowiekiem. Szybko nadrobił zaległości w programowaniu maszyny. Podczas weekendów często razem uruchamialiśmy programy, kiedy maszyna była wolna, bo Francuzi rozjeżdżali się na wypoczynek pod Paryż, a często i do sąsiednich państw, co już zupełnie wyprowadzało mnie z równowagi. Ot tak, bez żadnych formalności Francuz mógł sobie wyjechać na weekend do Brukseli czy Rzymu. A Polak mógł o tym tylko marzyć. W Polsce albo formalności były za długie albo brakowało pieniędzy, a najczęściej miały miejsce obie przyczyny. Inżynier Gackowski nadrobił także zaległości we władaniu francuskim. W tym celu brał słownik do teczki i pod wieczór, codziennie wychodził „na Paryż”, systematycznie studiując wszelkie reklamy i napisy, od czasu do czasu szukając wyjaśnienia w słowniku. Zresztą ów słownik także przerabiał według alfabetu, jak przystało na systematycznego informatyka. Pan Zbyszek miał zdolności do języków, znał biegle niemiecki, a potem i biegle poznał angielski. Tylko kogo jest stać na tak żelazną dyscyplinę w nauce języków?

W święta i weekendy często jeździłem na korty *Roland Garros* na paryskim przedmieściu *Porte d'Auteuil*, gdzie zawsze odbywał się jakiś turniej tenisowy. Na przykład w maju oglądałem sławny wielkoszlemowy turniej, dziś zwany French Open. Dlatego „Open”, że od 1968 r. był „otwarty” dla zawodowych tenisistów. Stadion został wybudowany w 1929 r. przed meczem w obronie Pucharu Davisa, który Francuzi dzierżyli już od paru lat. Nadano mu imię sławnego pilota z I wojny światowej. W 1995 r. został oddany do użytku sąsiadujący stadion im. Suzanne Lenglen, który może pomieścić aż do 40.000 widzów, któ-

rzy przychodzą na turniej tenisowy French Open. W 1962 r. przyglądałem się intensywnie wschodzącej gwiazdzie światowego tenisa, Australijczykowi Rod Laverowi. Grał lewą ręką i zwił się przy siatce, którym to stylem raczej trudno grać na korcie ziemnym, bo łatwo jest takiego gracza minąć. Laver w tym roku wygrał ten turniej, jak i pozostałe trzy wielkoszlemowe turnieje: Wimbledon, Nowy Jork i Sydney (potem w Melburn). Wyczyn ten powtórzył jeszcze w 1969 r. Nikt przed nim ani nikt po nim jeszcze nie pobił tego rekordu.

Kibicowałem także polskiej drużynie tenisowej (której kapitanem był Staszek Królak z AWF-u) przybyłej na ten turniej i z tego względu zostałem zaproszony przez Jean Borotrę, ówczesnego prezesa Francuskiego Związku Tenisowego, na przyjęcie do jego prywatnego, wykwintnego mieszkania w domu przy *Avenue de la Grande-Armee*, koło Łuku Triumfalnego. Borotra to sławny tenisista, jeden z tzw. Czterech Muszkieterów (Henri Cochet, Jacques Brugnon, Rene Lacoste), którzy dominowali w Pucharze im. Davisa od roku 1927 do 1932. Borotra, zwany „latającym Baskiem”, od grania w sławnym baskijskim berecie, był dwukrotnym mistrzem Wimbledonu, ale najwięcej intrygował mnie były minister Sportu w rządzie Vichy, podczas II wojny światowej. Pomimo, że rząd ten kolaborował z Niemcami, nie przeszkodziło to Francuzom, aby potem, już za prezydentury gen. De Gaulla (b. szefa Wolnych Francuzów) został prezesem FZT. Z dużym zaciekawieniem i przejęciem udałem się do jego wykwintnej rezydencji. Wymieniliśmy kilka zdań przy powitaniu. Powiedział do mnie, „że bardzo się cieszy goszcząc mnie i prosi o przekazanie pozdrowień panu prezesowi Słabolepszemu” (ówczesnemu prezesowi Polskiego Związku Tenisowego). Zdziwiło mnie wielce, że pamiętał nazwisko polskiego prezesa. Nie przypuszczałem wtedy, że za 9 lat zostanę wybrany prezesem PZT i przyjdzie mi martwić się za cały polski tenis. A było o co.

Skoro wspomniałem o Czterech Muszkieterach, to muszę wspomnieć szczególnie o jednym z nich, niezapomnianym Rene Lacoste, którego poznałem na trybunie kortu centralnego na stadionie Roland Garros. Był ciepły maj, jak to tylko być może w Paryżu, siedzieliśmy na trybunie w szortach i koszuli z krótkimi rękawami i stale popijaliśmy jakieś płyny z pragnienia. Oglądałem się na prawo, a tu siedzi przy mnie jakiś starszy pan w jesiennym ciężkim płaszczu i do tego owinięty szczelnie szalikiem. Zrobiło mi się „zimno” z wrażenia i zwracam się do kolegi, co on o tym myśli. Wtedy ktoś z tyłu zagadnął mnie po polsku, że to sam Lacoste. Tym „ktosiem” okazał się potem pan Tyszkiewicz. Mimo, że wiedziałem, że jest hrabią i przypuszczalnie ojcem polskiej aktorki Beaty Tyszkiewicz, bardziej interesował mnie sam Lacoste. Pod jakimś pretekstem zagadnąłem go co sądzi o meczu. W ten sposób mogę dziś napisać, że go „spotkałem”.

Lacoste był synem francuskiego przemysłowca, który zezwolił synowi na karierę w tenisie tylko pod warunkiem, że osiągnie mistrzowskie wyniki. I rzeczywiście Lacoste był dwa razy mistrzem Wimbledonu, trzy razy mistrzem Francji i dwa razy mistrzem Stanów Zjednoczonych, sześć razy zdobywał dla

Francji Puchar Davisa. W 1929 r. wycofał się ze sportu, ale nie z tenisa, dla którego wymyślił sławną trykotową koszulkę z logo w postaci krokodyla. W ślad za tym pojawiło się wiele odmian zwierzęcego logo na sportowych koszulkach. To on także wynalazł metalową rakietę Wilson T2000, którą Jimmy Connors tak skutecznie wygrywał mecze tenisowe. Odtąd w PRL-u zawsze grałem w drogich koszulkach Lacosta, zresztą jak każdy szanujący się polski tenisista. Dziś, gdy w USA stać mnie na takie koszulki, już w nich nie gram, są po prostu za „drogie”.

W lecie wybuchła wielka polityczna bomba. Pewnego dnia ukazały się wielkie nagłówki o możliwej wojnie atomowej. Kennedy zagroził zniszczeniem sowieckich wyrzutni rakietowych na Kubie. Chruszczow spasował i wycofał 10 tys. sowieckich „doradców” i wyrzutnie. Po 25 latach, ówczesny amerykański sekretarz Obrony Pentagonu McNamara przyznał, że opuszczał w owym lecie 1962 r. gmach Pentagonu nie wiedząc, czy ujrzy go jeszcze raz. Tak blisko było wówczas do wojny i to jakiej, atomowej. Dziś też wiemy, że Chruszczow po to m.in. spotkał się z Kennedym w 1961 r. w Wiedniu, aby sprawdzić, czy amerykański, młody prezydent jest twardym czy miękkim politykiem. Widocznie premier sowiecki pomylił się w ocenie, ponieważ John Kennedy twardo zagroził wojną Sowietom, a ci na to zmiękli i wycofali się z Kuby, przynajmniej oficjalnie. Za dwa lata Chruszczow został usunięty ze wszystkich urzędów. I znów byłem wtedy w Paryżu i znów czytałem wielkie, sensacyjne nagłówki gazet.

Czy przejmowałem się wojną na Kubie? Raczej nie, tak samo jak i Francuzi. Kuba była daleko, dla mnie mieszkającego w Polsce i w Paryżu. Aczkolwiek wojna atomowa równie dobrze mogła dosięgnąć Sowietów sąsiadujące z Polską. Nie kojarzyliśmy tego niestety. Wiedzieliśmy, że Sowieci najpierw puszą się jak kogut, a potem wycofują, gdy zobaczą, że przeciwnik nie żartuje. Bardziej przejąłem się równie wielkimi nagłówkami gazet o samobójstwie amerykańskiej aktorki Marilyn Monroe. Bardzo ją lubiłem, była taka kobieca i niesforna. Lubilem ją zwłaszcza z filmu „Pół żartem, pół serio”, gdzie grała piosenkarkę z Chicago o nazwisku Kowalczyk. Tak nazywała się z domu moja pierwsza żona Ala. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jak aktorka blisko była związana z prezydentem Kennedy, bohaterem kubańskiej konfrontacji z Sowietami oraz jego bratem Robertem. Istnieje wysoce prawdopodobne przypuszczenie, że Monroe popełniła samobójstwo z powodu zerwania z Johnem Kennedy, który był wtedy zajęty konfliktem z Sowietami. W rezultacie można stwierdzić, że jedyną ofiarą konfliktu kubańskiego została Marilyn Monroe! Co za niepowetowana strata dla miłośników kina i pięknej płci.

Będąc w Paryżu zaczytywałem się polską emigracyjną gazetą „Narodowiec”. Dla mnie inżyniera dopiero co upieczonego, gazeta ta była prawdziwym źródłem wiedzy o ówczesnym zbrodniczym reżimie sowieckim i jego odmianie w PRL. W polskiej księgarni w Paryżu kupiłem kilka książek zakazanych w PRL i nocami je wertowałem. Utkwiły mi w pamięci „Pamiętniki” profesora Stanisława Kota, przyjaciela Ojca. Najbardziej zapamiętałem fakt, że gdy profe-

sor był ambasadorem Rządu Londyńskiego w ZSRR to rozmowy z ministrem Spraw Zagranicznych Andriejem Wyszyńskim prowadził w języku... francuskim. A przecież Kot znał rosyjski, a Wyszyński znał polski. Widać obu dyplomatom oba te języki nie mogły przejść przez gardło.

Będąc za Żelazną Kurtyną większość Polaków w sytuacji takiej jak ja myślała o pozostaniu na Zachodzie. Raz nawet udałem się do Ambasady Australijskiej, aby wybadać sprawę emigracji. Nie było trudno o wyjazd fachowcowi do tego anglosaskiego kraju, położonemu gdzieś na końcu świata. Nie zdecydowałem się, ponieważ obawiałem się o to, że moja rodzina, tj. mama i żona nie otrzymają zgody na opuszczenie Polski, co gorsze, mogą być szykanowane. Takie to były wówczas czasy. Dopiero po 34 latach odwiedziłem Australię, ale już jako amerykański profesor z żoną Irminą i synem Jackiem.

We Francji nie żyliśmy tylko informatyką. Co weekend urywaliśmy się za miasto. Nieraz bardzo daleko. Dwa razy wybraliśmy się pociągiem nad Kanał La Manche. Najpierw odwiedziliśmy słynny klasztor na wyspie Saint Michel w Bretanii. Podczas odpływów morza na wyspę tę można dojść suchą nogą czy dojechać szosą. W czasie przypływu morza wyspa ta zostaje odcięta od lądu. Wchodzi się na jej szczyt wąską uliczką, pełną sklepów z pamiątkami i restauracjami. Oczywiście nie omieszkaliśmy wstąpić nawet do dwóch restauracji. W jednej zjedliśmy słynne bretońskie naleśniki, a w drugiej spałaszowaliśmy langustę, czyli wielkiego czerwonego raka. Było gorąco i chciało się nam pić. Tymczasem kelner podał nam langustę i wielką srebrną wazę pełną zimnej wody z cytryną. Była przeznaczona do mycia rąk po przełamywaniu skorupy langusty. Myśmy jednak nie zwlekali i wypiliśmy ciurkiem ową wodę. Kelner spojrzał się na nas jak na barbarzyńców. I słusznie.

Innym razem wybraliśmy się do pięknego letniego kurortu Deauville w Normandii, gdzie nawet zajrzeliśmy do kasyna gry. Na słynny tor wyścigowy nie wybraliśmy się z dość przyziemnego powodu, jakim był brak pieniędzy. Innym razem wybraliśmy się do sławnego korsarskiego miasteczka Saint Malo w Bretanii.

Na weekendowe wyjazdy poza Paryż często zabierał mnie mój przyjaciel z „Górala” Maciek Szereda. Maciek przebywał w Paryżu wraz z narzeczoną Teresą i robił karierę w projektowaniu mostów ze sprężonego betonu. Miał nową *Simcę* i białe rękawiczki, które zakładał na czas jazdy. Był pedantem, świetnie zorganizowanym człowiekiem, mówiącym perfektnie po francusku. Lepiej mówił po francusku od przeciętnego Francuza. W jego obecności bałem się otworzyć usta, by coś powiedzieć w tym języku. Zwykle jeździliśmy na plażę nad Kanał La Manche. Ponieważ na plażach tych było więcej kamieni niż piasku, trzeba było zaopatrzyć się specjalne pantofle plażowe. Przychodziły mi wtedy wspomnienia pięknych plaż nad polskim Bałtykiem. Z Maćkiem i Teresą zapuszczaliśmy się na różne potańcówki studenckie w Paryżu, na których panował nowy taniec *twist*. Od czasu *twista* nastąpiło rozerwanie tańczących par. Taniec ten polegał na rytmicznym uginaniu nóg i „zagłowaniu” rękami dla utrzymania

równowagi. Jeszcze dzisiaj nie ma potańcówki tu w Ameryce, aby nie zagrano rytmicznego *twista*. Gdy go tańczę, przypomina mi się Paryż.

Rozpisałem się o moim pobycie w Paryżu, a nie wspomniałem o najważniejszym, mianowicie o tym, o czym myślał każdy ówczesny polski stażysta przebywający na Zachodzie i dysponujący uciulanymi oszczędnościami w dewizach. Oczywiście taki stażysta myślał o zakupie i sprowadzeniu do Polski samochodu, tego wymarzonego wehikułu, z którego powodu dostawał istnego fisia. Z tego względu bezustannie zwiedzaliśmy salony samochodowe, gdzie nowe auta były jednak nie na naszą kieszeń. Place z używanymi samochodami tzw. *occasion* znajdowały się na rogatkach miasta. Było ich tak wiele, że nie mogliśmy się zdecydować z wyborem. Po każdej wizycie na takim placu mieliśmy co raz to nowe rozwiązanie.

W końcu, po przestudiowaniu gazet niemieckich, zdecydowałem się kupić auto w Zachodnich Niemczech. Auta niemieckie były lepszej jakości od francuskich i tańsze, a poza tym z Niemiec było bliżej do Polski. Janusz Madej kupił małe autko *Daufine*, czyli Renault 5, a Boguś Zaborowski zaskoczył nas najmniej oczekiwanym wyborem. Kupił on ni stąd ni zowąd używane czeskie auto *Skoda*, dość popularne w Polsce. Był to zakup rozsądny, a i cena była wyjątkowo niska. Koledzy trzymali zakupione auta na przedmieściach Paryża, gdzie było łatwiej o miejsce na ulicy. Niestety Boguś zaparkował swoją *Skodę* na górze, a ponieważ ręczny hamulec nawalił, kiedy przyjechał, aby dojrzeć swój wymarzony zakup, znalazł auto zsunięte, gdzieś na dole ulicy. Szczęśliwie nie rozbite.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Wyjazd autem z Paryża w dni robocze był nie lada sztuką. Panował okropny tłok i było mnóstwo wypadków. Postanowiliśmy wyjechać w niedzielę nad ranem, kiedy jeszcze wszyscy śpią i na ulicach jest dość luźno. Janusz wziął pana Zbyszka do swego samochodu, a mnie wziął Boguś. Oczywiście najpierw udaliśmy się na południe Francji, na sławne Wybrzeże Lazurów, gdzie przez Monte Carlo i południowe Włochy koledzy odwieźli mnie i pana Zbyszka na dworzec w Mediolanie.

Podróż ową *Skodą* była jednym wielkim hazardem, bowiem nie miała dobrych hamulców. Ciężko było jechać zwłaszcza w terenie górzystym na Wybrzeżu Lazurów. W centrum Monte Carlo, zwrot w lewo Boguś brał trzy razy, bowiem wskutek braku dobrych hamulców, wjeżdżał zawsze na zły pas. Za trzecim razem, policjant kierujący ruchem zatrzymał cały ruch i przeprowadził nas jak po sznurku w pożądanym kierunku. Śmiał się z naszej jazdy, ale życzliwie pomógł. Zresztą wszyscy na Wybrzeżu Lazurów są uśmiechnięci, bowiem zmusza do tego piękna pogoda i piękny krajobraz. Myślę, że dlatego Francja wydała impresjonistów, ponieważ ma tak przepiękną naturę. Malarze wyszli z atelier, bo naprawdę było do czego wyjść, do tych pól pełnych czerwonych maków i żółtych słoneczników oraz nasłonecznionych winnic produkujących „zyciodajne” wino.

W Mediolanie dwaj kierowcy pożegnali nas włoskim *avivederci* i pognali do Polski. Myśmy, tzn. pan Zbyszek i ja pojechali pociągiem do Frankfurtu, gdzie kupiłem pięknego używanego *Opla Recorda*. Pan Zbyszek, biegle władał niemieckim, stąd zakup poszedł jak po maśle. Przy wyjeździe z wielkiego garażu frankfurckiego, zapytaliśmy się tylko „czy do Polski to w lewo, czy w prawo?” Sprzedawca powiedział, że „w lewo” i po lawirowaniu ulicami miasta wyjechaliśmy cało w kierunku na NRD. Na granicy NRF z NRD komunistyczni celnicy zrobili nam jak najbardziej dokładną kontrolę. Zabrali nam wszystkie pomarańcze, nie wiem czy z uwagi na przepisy czy w związku z apetytem na nie. W każdym razie mieli nam za złe, że my Polacy byliśmy na Zachodzie, a im Niemcom nie wolno tak podróżować. Czuło się to w ich każdym geście.

Reorganizacje w Zachodniej Europie, w Polsce i powstanie ETO

Po powrocie do Polski pod koniec 1962 r. zająłem się dalszym projektowaniem systemu dla Zakładów im. M. Kasprzaka i Zakładów Lamp Elektronowych im. R. Luksemburg w Warszawie na Woli. Pracownia, którą kierowałem została przeniesiona z ul. Nowogrodzkiej 56, gdzie znajdował się ORGMASZ do Zakładów Kasprzaka, a dokładnie do przylegającego do Zakładów budynku kina.

Praca zaczęła przybierać beznadziejny obrót, ponieważ ciągle projektowaliśmy system bez możliwości jego uruchomienia na jakiegokolwiek maszynie z prawdziwego zdarzenia. Z maszyn ZAM wszyscy zaczęli się lekko podśmiewywać. Stały się one symbolem polskiej niemocy. Wprawdzie wrocławskie Zakłady ELWRO dały znać o sobie wypuszczeniem serii produkcyjnej maszyn ODRA 1001 w 1961 r. i ODRA 1002 w 1963 r. oraz ODRA 1003 w 1964 r. ale były to małeńkie, nieoprogramowane maszynki dla potrzeb obliczeń numerycznych. Również ZAM 2 wyprodukowane w 1962 r. i UMC 10 z 1963 r. miały podobny charakter. Aż trzy ośrodki w Polsce zaczęły produkować podobne maszynki, żaden z nich nie miał jeszcze zamiaru zająć się konstrukcją i produkcją maszyn najbardziej potrzebnych, czyli do automatyzacji przetwarzania danych (APD). Niemoc centralnego planisty była widoczna w całej pełni. Niemoc zaczęła i nam się udzielać.

W Polsce mówiło się, że w instytutach pracują „półkownicy” i „grotołazi”. „Półkownicy” to ci, co prace swe odkładają na półki, a „grotołazi” to ci, co *gross* to łązą. Zaczęliśmy zaliczać się do „półkowników”. Projekt dla Zakładów Kasprzaka i R. Luksemburg opisał znany publicysta (w stanie wojennym popełnił samobójstwo) Jerzy Zieliński w artykule „EMC, czyli widzieć jasno”, opublikowanym w „Polityce” (4 VII 1964). Jurek, ten niezapomniany promotor usprawnień polskiej gospodarki, pisał, że „w Zakładach Radiowych Kasprzaka 220 osób odczytuje i zapisuje w ciągu roku 300 tysięcy stron papieru”. Potem sugeruje, że tę „armię urzędników może zastąpić Elektroniczna Maszyna Cyfrowa”.

W tej sytuacji zacząłem sporo publikować w prasie naukowo-technicznej, jak i w „Przeglądzie Technicznym”, strategicznym piśmie techników. Trzeba było popularyzować zastosowanie APD w gospodarce, aby kiedyś przerodziło się ono w konkretne decyzje przydzielające środki na rozwój. Artykuły te były ściśle na temat zastosowań maszyn cyfrowych w gospodarce⁸.

Równolegle publikowałem artykuły ściśle na temat polityki państwowej w zakresie zastosowań maszyn cyfrowych. W tym celu sprzęgnąłem swe wątle siły z dyrektorem Departamentu Organizacji i Zarządzania w Urzędzie Rady Ministrów — Michałem Doroszewiczem, podległym wicepremierowi Eugeniuszowi Szyrowi. Opublikowaliśmy serię artykułów w „Przeglądzie Technicznym” pod tak znamienymi tytułami jak: „Automatyzacja Przetwarzania Danych — nieodzowny czynnik postępu ekonomicznego” (26 lipca 1964), „Możliwości skoku w metodach zarządzania” (2 sierpnia 1964), „O model do modelowania” (1964).

Artykuły te, a także rosnące potrzeby gospodarki, głosy i innych specjalistów jak np. szczególnie dr Wojciecha Jaworskiego, a także doc. Romualda Marczyńskiego oraz coraz lepiej znana nam sytuacja w Zachodniej Europie, przyczyniły się do powołania Urzędu Pełnomocnika Rządu ds. Elektronicznej Techniki Obliczeniowej w 1964 r.

Dużą operacyjną rolę w powołaniu tego urzędu odegrał mój współautor dyr. Michał Doroszewicz, który odpowiadał za „organizację i zarządzanie” w państwie, a czuł, że nie ma do tego ani metod ani środków. Oczywiście powołanie takiego urzędu nie mogło się odbyć bez pilotującego te rozwiązania wicepremiera. Odtąd Pełnomocnik ds. ETO podlegał wicepremierowi Eugeniuszowi Szyrowi, zwierzchnika i dyr. Doroszewicza.

Na Zachodzie sytuacja była odwrotna niż w Polsce (gdzie uwaga była skoncentrowana na maszynach do obliczeń numerycznych). Najwięcej wypuszczano tam na rynek maszyn do przetwarzania danych dla potrzeb biznesu. Chociaż w Zachodniej Europie, zwłaszcza we Francji i w W. Brytanii dał się zauważyć ostry kryzys kompetencyjny pomiędzy krajowym i amerykańskim przemysłem a rolą państwa w rozwoju informatyki. Pozostałe kraje Zachodniej Europy praktycznie nie liczyły się wówczas w produkcji maszyn cyfrowych, chociaż jej ślady były widoczne w Szwecji i Włoszech. Natomiast Zachodnie Niemcy świadomie nie podjęły rozwoju maszyn cyfrowych, wychodząc z założenia, że

⁸ „Międzynarodowy salon maszyn liczących i orgatechniki”, Organizacja Samorząd Zarządzanie 1963, nr 1; „O niektórych zastosowaniach mechanizacji w handlu francuskim”, Handel Wewnętrzny 1963, nr 2; „Możliwości wykonywania obliczeń dla potrzeb przemysłu na elektronicznej maszynie cyfrowej”, Organizacja Samorząd Zarządzanie 1963, nr 12; „Elektroniczna technika w służbie morza”, Biuletyn Informacyjny PLO 1964, nr 1-2; „Efektywność mechanizacji przetwarzania danych i zasadnicze wyznaczające ją czynniki”, Organizacja Samorząd Zarządzanie 1964, nr 3; „Efektywność maszyn licząco-perforacyjnych do przetwarzania danych”, Przegląd Organizacji 1964, nr 4; „Karta czy taśma dziurkowana”, Organizacja Samorząd Zarządzanie 1964, nr 5; „Zastosowanie elektronicznych maszyn cyfrowych do rozliczeń płacowych”, Ekonomika i Organizacja Pracy 1964, nr 8-9.

mają taki nadmiar dewiz, że jest stać je na zakup maszyn amerykańskich. Wprawdzie potem, w późnych latach 1960. i 1970. kilka niemieckich koncernów zaryzykowało wejście w program rozwoju maszyn cyfrowych, z nikłym skutkiem, z wyjątkiem firmy Nixdorf.

W W. Brytanii w owym czasie sytuacja wyglądała tak, że dominującym dostawcą maszyn cyfrowych była amerykańska firma IBM, podczas gdy Anglicy mieli bardzo ładny dorobek pionierski w wynalezieniu maszyn cyfrowych (mam tu na myśli prace A. Turinga i M. Wilkesa). Kilka firm konstruowało i sprzedawało maszyny cyfrowe, głównie do obliczeń numerycznych. Jediną firmą specjalizującą się w APD była firma ICT, powstała w 1959 r. z fuzji kilku mniejszych firm. Firma ta podjęła prace nad maszyną ICT 1300, która w 1965 r. została nawet ofiarowana Polsce. Istniało wówczas niepisane prawo, że opłacalność produkcji EMC uzyskuje się w serii powyżej 1000 sztuk. Stąd Rząd angielski dążył za wszelką cenę do tego, aby angielska firma miała jak najwięcej zamówień z administracji na Wyspie i z kolonii. Zaczęto stosować politykę zakupów typu „*English first*”.

Polityka protekcji własnej produkcji doprowadziła do obniżenia innowacyjności maszyn ICT. W rezultacie ta na wskroś angielska firma, aby utrzymać się na rynku, musiała zakupić licencję na amerykański minikomputer do APD, Univac 1004 (ICT 1004) oraz na komputer średni, też amerykański — RCA 301 (ICT 1500), nota bene ten sam, który wybrali i Francuzi. Firma wpadła w kryzys, gdy okazało się, że produkuje trzy różne maszyny: ICT 1004, ICT 1301 (ulepszona ICT 1300) i ICT 1500. Zmieniono kierownictwo firmy i przeorientowano jej profil produkcyjny na produkcję rodziny maszyn ICT 1900, opartej na kanadyjskiej konstrukcji Ferranti-Bell 6600. Maszyna ICT 1900 została później zaadaptowana przez ELWRO i produkowana jako ODRA 1304, 1305 i 1325. Ale kłopoty firmy ICT nie skończyły się na tym.

Francuski BULL zorientował się dość szybko, bo już w 1963 r., że wielka Gamma 60 (w cenie kilku milionów dol.) jest za droga dla przeciętnego użytkownika w biznesie. W związku z tym *Serie 300 MCT* została przeskalowana na pierwszy minikomputer *Gamma 10* dla potrzeb APD małych i średnich przedsiębiorstw. Natomiast dla dużych firm została zakupiona licencja na amerykański komputer RCA 301, który Francuzi ochrzcili na *Gammę 30*.

Wskutek braku kapitału, BULL połączył się w 1964 r. z amerykańską firmą General Electric i zajął się produkcją i sprzedażą świetnych maszyn GE 400 i GE 600. Fuzja ta została określona przez francuską prasę „pierwszą aferą BULL-a”. Najpierw rząd próbował dofinansować BULL-a, ale gdy okazało się, że nie dysponuje wystarczającymi środkami, dał zielone światło na fuzję z Amerykanami.

Zaskakujące było dla mnie to, że owe decyzje wydali francuscy ministrowie polskiego pochodzenia. Ministrem Badań Naukowych był Gaston Palewski, ten sam, na którego Stalin nie zgodził się, gdy gen. De Galle zaproponował go na ambasadora Wolnych Francuzów w Moskwie. Stalin miał odpowiedzieć Gene-

rałowi, że „ma już dość Polaków”. Ministrem Przemysłu i Handlu był z kolei Maurice Bokanowski, a dyrektorem gabinetu prezydenta V. Giscarda d’Estainge’a był późniejszy minister Stanu — Michel Poniatowski. Ten ostatni był potomkiem ks. Kazimierza Poniatowskiego (brata Józefa). Znany był z tego, że lubił przyjeżdżać do PRL na wykwintne polowania.

Prasa francuska podniosła głos w obronie rodzimego przemysłu maszyn cyfrowych i jako wynik „pierwszej afery BULL-a” został powołany w 1964 r. urząd Delegata Rządu ds. Informatyki. Urząd ten od razu zaczął zajmować się stworzeniem francuskiego odpowiednika firmy BULL (opanowanej przez Amerykanów). W ten sposób powstała na wpół znacjonalizowana firma *Compagne International pour l’Informatique*, w skrócie zwana CII.

Akcja ta miała wielki wpływ na sytuację w Polsce. W tym samym roku w lecie został, jak już wspomniałem, powołany Urząd Pełnomocnika Rządu ds. Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, zwanej w skrócie ETO. W ciągu następnych 7 lat udało mi się z trudem przeforsować w Polsce zastąpienie terminu ETO terminem informatyka, zapożyczonym wszakże od Francuzów.

Wyjazd do Kanady i Francji (1964)

Sytuacja trwalej niemocy wdrożenia w Polsce systemów na maszynie cyfrowej do przetwarzania danych zmęczyła mnie. W tym stanie trwałem już sześć lat, co dla młodego inżyniera, pełnego energii oznaczało „pozostawanie w tyle” w zawodzie. Chociaż to „pozostawanie w tyle” dotyczyło w owym czasie wszystkich specjalistów od APD w Polsce. Pomimo tego, że pośrednio przyczyniłem się do powołania Urzędu Pełnomocnika ds. ETO, to jednak nie byłem zainteresowany pracą w tym urzędzie. Byłem za młody na „urząd” i czułem, że muszę jeszcze wiele nauczyć się w moim zawodzie. Postanowiłem wtedy być przede wszystkim fachowcem. Dzięki tej postawie udało mi się przetrwać późniejszy kryzys w moim życiu, m.in. spowodowany zaangażowaniem się w polityczny aspekt mojego zawodu. W tej sytuacji postanowiłem zrobić doktorat na Zachodzie.

Napisałem do prof. Gotlieba Huma, autora popularnej książki „*High-Speed Computers*”, czy może przyjąć mnie na seminarium doktoranckie na Uniwersytecie Torontońskim w Kanadzie. Profesor odpisał, że tak i nawet wystarał mi się o stypendium. Stypendium takie ledwo starczało na przeżycie, a wiedziałem już, że na Zachodzie prócz stypendium trzeba mieć spore kieszonkowe. Zapewniłem sobie spanie w Toronto u p. Chobrzyńskiego, brata mojej ciotki Ireny Chobrzyńskiej-Targowskiej. Żeby zaopatrzyć się w owe kieszonkowe postanowiłem wyjechać do Paryża do BULL-a, popracować parę miesięcy i zarobić trochę pieniędzy. Przecież nie mogłem pójść do polskiego banku i wymienić złotych na kanadyjskie dolary. Kupienie ich na czarnym rynku przekraczało moje finansowe możliwości. Po tarapatkach, jak zwykle w PRL wiążących się z otrzymaniem paszportu, wyjechałem po raz trzeci do Paryża, latem 1964 r.

Wyjazd ten zmienił moje całe życie. Nie dotarłem do Kanady, za to wróciłem do Polski. Stało się tak za sprawą nowego i pierwszego pełnomocnika rządu ds. ETO (PRETO) mgr inż. Eugeniusza Zadrzyńskiego.

We wrześniu przyjechała do Paryża do BULL-a delegacja Urzędu PRETO. W skład delegacji wchodził: sam pełnomocnik, dyr. Marek Wajcen z PRETO, inż. Ludwik Mebel z Komisji Planowania i dyr. Tadeusz Koral z Centrali Handlu Zagranicznego Varimex. Minister Zadrzyński rozpoczął urzędowanie od zapoznania się z poziomem ETO we Francji. Byłem wówczas w firmie BULL, która mnie poprosiła o towarzyszenie delegacji i spełnianie funkcji tłumacza. Zamieszkaliśmy w hotelu *Intercontinental*, róg Bulwaru *Rivoli* i *rue Castiglione*, która prowadzi do placu *Vendome*, gdzie znajduje się najsławniejszy hotel Ritz. To właśnie w tym hotelu księżna Diana spędziła ostatnią noc przed śmiertelnym wypadkiem samochodowym w sierpniu 1997 r. Mieszkaliśmy więc w najlepszej dzielnicy o czym świadczy fakt, że w naszym hotelu mieściła się swego czasu siedziba Gestapo.

W hotelu mieliśmy otwarty rachunek na jedzenie, dzięki czemu mocno nadrobiłem swe zaległości w odżywianiu nie tylko podczas tego pobytu, ale i podczas dwóch poprzednich. Wszyscy mieli świetne apetyty, a największy miał dyr. Tadeusz Koral z Varimexu, który był chory na wątrobę i w Polsce był na diecie. Był to bardzo dystyngowany członek delegacji, pewny siebie, były zamachowiec, który podłożył bombę w niemieckim kasynie przy ul. Szucha. Jeden z nielicznych, któremu wystawiono pomnik za życia koło kina Klub w Warszawie. Okazało się, że siedział z moim Ojcem w obozie koncentracyjnym. Pan Tadeusz w czasie smacznych posiłków sypał dowcipami bez przerwy i nie robił najmniejszego wrażenia, że choruje na wątrobę.

Ponieważ jako jedyny z delegacji mówiłem po francusku, więc przypadł mi w udziale honor zamawiania posiłków i podpisywania rachunków. Raz nawet wydarzył się mały incydent w tym względzie. Kiedy kelner od win, tzw. *garçon*, dość starszy mężczyzna w wielkim czarnym fartuchu, wcale nie wyglądający na chłopaka, jak to wynikało z tytułu „*garçon*” nalał mi pierwszemu wino do kieliszka i powiedział, że „to jest zamówione *Chateaufort-du-Pape* z 1953 r.”. Ja mu na to z głupia frant odpowiedziałem „czy rzeczywiście pan uważa, że to jest wino z 1953 r.”. *Garçon* zaczerwienił się i odrzekł, że „nie mają już wina z 1953 r., i że bardzo za to przeprasza”. Widocznie *garçon* przeżył to wykrycie kłamstwa, ponieważ na drugi dzień wygarnął mi tyradę, że „pan myśli, że Francuzi to głupcy, że tylko wy znacie się na winie i potraficie wystrzelić sputnika”. Zrobiło mi się głupio i przykro, że nas Polaków utożsamiał z przedstawicielami Sowietów. Wówczas wszyscy ze Wschodniej Europy na Zachodzie byli „Ruskimi”.

Wraz z delegacją zwiedziłem kilka największych instalacji komputerowych, zwanych po francusku *l'ordinateur*. M.in. zwiedziliśmy olbrzymi ośrodek obliczeniowy kolei francuskiej (SNCF) i równie wielki ośrodek obliczeniowy energetyki *Electricite de la France*. Firma BULL zawiozła nas następnie do miasta

Angers, gdzie produkowała wspomniany amerykański komputer GE 400. Kiedy byłem u BULL-a w 1964 r. posłano mnie na kurs tego komputera, na którym przeszkoliłem się w programowaniu przetwarzania kartotek na taśmach magnetycznych. Wówczas w Polsce nie mieliśmy takich pamięci.

Wracając do miasta Angers, to kiedy jechaliśmy do niego koleją cały czas chodziło mi po głowie, że właśnie w tym mieście w czasie wojny przebywał polski rząd z premierem gen. Władysławem Sikorskim. Zapewne miasto musiało pamiętać wojenny „najazd” Polaków. Nikomu z delegacji nie wspomniałem o tym, nie wiedząc z jaką spotkam się reakcją.

Natomiast nie przemilczałem, kiedy raz wyszedłem z hotelu na ulicę spostrzegłem wielkie nagłówki gazet o upadku Chruszczowa w Moskwie. Nagabywałem o tym najbardziej ministra Zadrzyńskiego, ale ten wołał nic nie mówić, zresztą nie chciał powiedzieć czegoś, czego by potem żałował. A mógł powiedzieć wiele, bowiem w czasie wojny wylądował w ZSRR i miał mocne wspomnienia z tamtych czasów. Dla mnie upadek Chruszczowa, jak każdy upadek sowieckiego cara, zwiastował postęp. I rzeczywiście jego późniejszy następca (najpierw zastąpiła Chruszczowa *troika*) Breżniew i premier Kosygin wprowadzili wiele pragmatyzmu do gospodarki, co wiązało się m.in. z popieraniem rozwoju informatyki. Ten „pragmatyzm” udzielił się także i planom wojskowym, kiedy na początku dekady lat 1970. Pakt Warszawski planował inwazję Zachodniej Europy. Te wielkie zawirowanie historii dosięgło raz jeszcze mnie, małą płotkę. Przez pierwsze zawirowanie historii w moim skromnym życiu uważam moje „przygody” w Powstaniu Warszawskim.

Na zakończenie intensywnego pobytu delegacji, firma BULL zawiozła nas *Caravelą* na legendarne Lazurowe Wybrzeże, towarzyszył nam młody specjalista marketingu hr. Bruno de Vulpian, z którym byłem zaprzyjaźniony. W pięknym miasteczku St. Rafael minister Zadrzyński nie wytrzymał, rozebrał się i wskoczył do morza, wypływając daleko. A ja za nim. Na brzegu pozostała zaskoczona reszta smutnej delegacji, w płaszczach ortalionowych, wówczas bardzo modnych. Po kąpieli w Morzu Śródziemnym wstąpiliśmy do słynnego kasyna w Monte Carlo. Przy wejściu wylegitymowano mnie, sprawdzając czy jestem pełnoletni, tak szczenięco wtedy wyglądałem. W Warszawie krążyła plotka, że prezydent Warszawy Janusz Zarzycki zgrał się niedawno w tym właśnie kasynie. Przypuszczam, że z tego powodu min. Zadrzyński udawał, że go gra nie interesuje. Mnie bardzo interesowała, ale nie grałem z innego powodu, jakim był brak pieniędzy. Myślę, że tym razem był to „brak” na rękę, ponieważ mało kto wygrywa, a tym bardziej taki nowicjusz jak ja.

Kiedy delegacja poszła zwiedzać Zamek w Monte Carlo, ja z Bruno wyskoczyliśmy na korty by zagrać w tenisa. Uważał się za dobrego gracza, pewnie rodzina wydała majątek na jego naukę gry. Będąc kiedyś zawodnikiem, nie miałem wiele do roboty z nim.

Odtąd mnie szanował i raz nawet zawiózł swym szybkim BMW na tor wyścigowy w Le Mans. Pierwszy i ostatni raz jechałem samochodem z szybkością

ponad 200 km na godzinę. Francuzi kochają szybką jazdę, jak i szybkie życie. Potem pojechaliśmy do jego teścia-markiza, do jednego z zameczków nad Loarą. Przyjmowano mnie wykwintnie, czułem się jakbym mieszkał w Wilanowie. Najbardziej podobały mi się przyćmione lustra, w których twarz nie wygląda na zmęczoną czy na starą. Teść był bardzo dobrze wprowadzony w arkana polskiej polityki. Mówiliśmy wówczas o Bogdanie Piaseckim z PAX-u. Miły gospodarz przestrzegał mnie, że „Piasecki to koń Trojański”. Miałem coś do powiedzenia na ten temat, ponieważ z jego później zamordowanym synem Bogdanem grywałem w tenisa. Na zakończenie Bruno zaprosił mnie na polowanie na gołębie. Szliśmy z dubeltówkami przez czworaki, wszyscy się nam kłaniali. W kościele siedzieliśmy w specjalnej ławce, zarezerwowanej dla miejscowego dziedzica. Msza odbywała się już po francusku, dzięki świeżym reformom Papieża Jana XXIII. Sceny takie znałem tylko z opowiadań Mamy.

Na zakończenie delegacji minister Zadrzyński powiedział mi żebym wracał do Polski i „nie marnował się na Zachodzie”. Obiecał znaleźć mi pracę. I znalazł. Powrotu nie żałuję. Jakże by nudne było moje życie bez tego wszystkiego, co potem dane mi było przeżyć, a nawet i przecierpieć w PRL-u. W każdym razie następne 10 lat tj. lata 1965-74 były najciekawszymi latami mojego życia.

Delegacja PRETO powróciła do kraju, a ja powróciłem do praktyki programowania komputera GE 400. Zostałem sam w Paryżu i biłem się z myślami, czy jechać do Kanady, czy wracać do Polski?

Stopniowo coraz bardziej skłaniałem się do powrotu.

Żeby zapamiętać jak najwięcej z Paryża zacząłem intensywnie chodzić do kina i zwiedzać wystawy. W kinach francuskich panowali twórcy tzw. Nowej Fali, którzy przedstawiali V Republikę w nowoczesnym świetle. Wynikającym m.in. z nowych i wszechobecnych zastosowań informatyki. Do twórców tych zaliczali się w pierwszym rzędzie Francois Truffaut, który stworzył film „400 batów” i Jean-Luc Godard, który wyreżyserował film „Do utraty tchu”. Najpopularniejszymi aktorami Nowej Fali, którzy podobali mi się najbardziej byli wówczas Jean-Paul Belmondo i Jeanne Moreau. W pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia obejrzałem sławny amerykański film „*West Side Story*”, nagrodzony 10 Oskarami.

W styczniu 1965 r. spakowałem manatki i wróciłem do Polski.